Nr. 10. Lwów, Niedziela dnia 5. Listopada 1876 r. **Tom IV.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

X.

MY I NAJBLIŻSZA WYSTAWA PARYSKA.

Najbliższa Wystawa paryska odbędzie się w r. 1878. Chociaż wydaje się na pierwszy rzut oka, że jej termin jeszcze dość daleki, mimo to każde państwo już dziś o niej myśli, bo aby na Wystawie godnie wystąpić, potrzeba nie jedno przygotować. Zapytania wysłane z Paryża do wszystkich państw europejskich i zamorskich, odniosły pożądany skutek, albowiem każde z nich przyrzekło wziąć czynny udział na Wystawie, z wyjątkiem jednych Niemiec, które nie tyle z antagonizmu do Francji, ile z obawy, by ich Francuzi na tym konkursie międzynarodowym na głowę nie pobili, wstrzymują się z odpowiedzią. Trwoga przed zbliżającą się wojną, nikogo od przygotowań nie odciągnie, bo choćby do najkrwawszego przyszło starcia, walka skończy się bez żadnej wątpliwości w ciągu r. 1877, a w r. 1878 Europa będzie już miała pokój. Gdy tak każdy myśli o Wystawie, która bez wątpienia będzie najświetniejszą z wszystkich dotychczasowych, jak wobec tego faktu doniosłego zachowujemy się my, Polacy? Oto powiedziawszy prawdę, my o Wystawie jeszcze wcale nie myślimy.

Niepodobieństwem żądać, aby Polska nie mająca samodzielnego bytu politycznego, mogła na Wystawie wystąpić oddzielnie i przedstawić swoją pracę w całości odrębnej; z porządku rzeczy, producenci z Kongresówki i ziem zabranych zostaną pomieszczeni w oddziale rossyjskim, W. ks. Poznańskiego w niemieckim, a Galicji w austrjackim. Tak rozczłonkowani zginiemy w łonie państw obcych, i świat kupiecki nawet wiedzieć nie będzie, że na świecie są Polacy; dowiedzą się o nas tylko miłośnicy sztuki, gdy stanąwszy przed dziełami Matejki, Siemiradzkiego i innych naszych artystów, zapytają o nazwiska i narodowość twórców tych dzieł wzniosłych.

Aby nam nie powiedziano, żeśmy zmądrzeli po szkodzie, a kiedy czas był po temu niceśmy nie przedsięwzięli by złemu zapobiedz, rzucamy dziś myśl, która urzeczywistniona, przypomni nas w r. 1878 światu całemu.

Pomijamy przemysł, który bądź co bądź w oddziałach państw zaborczych zaginąć musi, a zwacamy się do Sztuki naszej, którą przynajmniej pod pewnym względem możemy ocalić dla Polski. Projekt, który zamierzamy postawić, nie jest trudnym do wykonania.

Wiemy bardzo dobrze, jakie dzieła poszlą na Wystawę nasi wielcy mistrze, tudzież drugorzędni artyści polscy. Dzieła te są już bądź ukończone, bądź na ukończeniu. Ponieważ trudno przypuścić, aby Prusy, Austrja i Rossja pozwoliły na postawienie w Paryżu osobnego pawilonu dla Sztuki polskiej, więc znajdźmy drogę inną, która choć w części zaprowadzi nas do celu zamierzonego. Oto otwórzmy album z kopij wszystkich tych utworów, które Polacy poszlą do Paryża w r. 1878, a zatytułowawszy taki zbiór: „Album artystów szkoły polskiej na wielkiej wystawie światowej, w Paryżu r. 1878“ — sprzedawajmy go na placu Wystawy. Jeżeli z powodu, że niektórzy artyści w ostatnich dopiero miesiącach przed otwarciem Wystawy ukończą swoje dzieła, nie dałyby się wykonać dobre drzeworyty, które dłuższego czasu wymagają, to zróbmy album z dobrych fotografij, które w ostatniej nawet chwili można zdejmować. Album takie, sprzedawane tam, gdzie zjadą się miljony ze świata całego, nie tylko się opłaci, lecz nakładcy może jeszcze znaczny zysk zapewnić.

Jak widzicie, projekt nasz nie jest trudnym do wykonania; potrzeba się nim tylko zająć i zaryzykować kilka tysięcy, które dziesięćkrotnie mogą się wrócić, a co do zasługi, ta będzie prawdziwą, bo wiadomość o Sztuce polskiej rozejdzie się po całym świecie.

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Mimo zajęcia bronią i ozdobnemi rzędy na konie, Barciński wszakże dostrzegł przez okno od dziedzińca, iż konie jego zaszły przed ganek, wedle wydanej Hryszce dyspozycji; przypomniał, że miał jeszcze przed nocą kawał drogi niemałej a po piaskach, i chwycił się napędzając swoich do wyjazdu.

— Czego się państwo tak spieszycie? zapytał ich smutnie Żeliga — prawda że to tu u mnie nie wesoło, ale znalazła by się inna chata do przenocowania.

Wszystkim na myśl przyszła trumna z kołdrą i trupia głowa i nikt próbować noclegu w tej cmentarnej pustelni nie miał wielkiej ochoty.

Żeliga na zbyt nie nastawał.

— Przenocowalibyście — dodał — nie tu, ale w innym dworku, w chacie mojej ogrodowej, przeznaczonej dla gości... bo tu ja sam wiem że klasztor, a wyście ludzie ze świata...

Barciński wahał się, a może trochę mu się chciało pozostać, gdy Żeliga zobaczywszy ogromnego pająka, który się ku stołowi spuszczał, niespokojnie kręcąc na nici, potrząsł głową znacząco. Pająk był tak tuczny ogromny, ruchomy, i tak sobie śmiało jakoś gospodarował, a wydawał się tak straszny, że Justysia postrzegłszy go aż krzyknęła.

— Nie lękaj się pani droga — rzekł przystępując Żeliga — to także jest mieszkaniec tutejszy a mój dawny wychowaniec, stary pająk, który tu żyje od lat nie wiem wielu, przychodzi on oznajmić że państwo choćbyście chcieli jechać, przenocować musicie.

— Jakto? czemu?—spytał p. Marcin— a cóż to ma do pająka?

— Zapewne... — odparł Żeliga — ale to nieochybna, że gdy on się we dnie kręci niespokojny i wyłazi ze swego schronienia, tylko co nie widzi burzy...

Jakby na potwierdzenie tego domysłu, daleki huk grzmotu rozległ się po nad lasy.

— No! konie do stajni! — odezwał się nie pytając nawet już Barcińskiego Żeliga — burza w tych lasach to nie żart... nie jest bezpiecznie pod nią puszczać się w drogę i ja was już wstrzymać muszę... Zanosi się może i na całą noc.. chodźmy zobaczyć.

Kobiety pierwsze pospieszyły do pokoju z balkonem, z którego najlepiej widać było okolicę; chmura ławą szeroką zaległa widnokrąg, sina płowa, straszna, wrzało w niej i huczało. Wiatr, który się zrywać poczynał, szumiał już kręcąc wierzchołkami jodeł.

— Ponieważ nocować musicie, bo to już wątpliwości nie ulega — rzekł Żeliga — a tu siedzieć nie byłoby wam przyjemnie, idźmyż natychmiast do domku na zwierzyńcu bo za pół godziny już się nawet tam dostać będzie trudno.

Klasnął znowu w ręce i karły się zjawiły, które na skinienie pana zabrały rzeczy podróżnych i poszły przodem jakby zgadując dokąd iść było potrzeba.

Po za domem furta zamczysta wiodła do oddzielonej części lasu, przerobionej na rodzaj ogrodu a raczej zwierzyńca opasanego zewsząd wysokimi płotami.

Kilka spłoszonych danielów i sarn przebiegły im u wejścia drogę, ale jeden rogacz stary, który był zrazu pierzchnął zaraz się opamiętał, zwrócił i przyszedł Żelidze do ręki.

— Ruszaj sobie stary — rzekł głaszcząc go Żeliga—nie mam nic, nie mam nic.

Kozioł postał jeszcze, popatrzał, pociągnął powietrza i jakby zrozumiawszy wreszcie, poskoczył za swemi w gęstwinę.

Ścieżka usypana piaskiem kręcąc się pomiędzy drzewy prowadziła do stojącego w pośrodku starych dębów prawdziwie wiejskiego domku. Pnie gładkie i wyniosłe, kilkaset letnich owych starców, trafem były tak ustawione, że przypierając do czterech węgłów domu, zdawały się go podtrzymywać. Dach kryty był trzciną, ściany z bierwion korą odzianych na mech kładzionych wyglądały dziko ale wdzięcznie. Daleko tu było jakoś weselej niż w wielkim dworze, a gdy weszli zdziwili się wszyscy wytworności mieszkaniu, którego powierzchowność wcale nie była obiecującą. Zewnątrz było to mało co więcej niż porządna chata, w środku mało co mniej niż pałac. Posadzki marmurowe, kominy rzeźbione, zwierciadła weneckie wielkie, ściany makatami przyodziane, stoły mozajkowe, porcelanowe naczynia; słowem pańska wspaniałość i smak nader wytworny.

— U pana zajrzeć cuda tylko i dziwy! — zawołał Barciński rozweselony — chowasz waszmość klejnoty i djamenty w pudełku z mchu i kory... a toć to choćby króla przyjmować...

Uśmiechnął się na to Żeliga.

— Zgadliście — rzekł — był tu jeden... ale o tem potem..,

Machnął ręką. —Nie ma co o tem mówić wiele.

Zaledwie mieli się czas rozpatrzeć, gdy karły kawę przyniosły już widać przygotowaną, na tacy srebrnej jak stół wielkiej, ale tuż i burza poczęła drzewami miotać, błyskawica jedna po drugiej oślepiały, huk grzmotów coraz bliższy przestraszył kobiety. Pozamykano okna, nie było w istocie ani sposobu myśleć o podróży, ulewa okrutna puściła się jak z cebra.

P. Marcinowa z Justysią i p. Agnieszką poczęły się modlić, a Marcin z Żeligą wyszli do bocznego pokoju.

Tu siedli na ławie kobiercami wysłanej.

— Rozumiem — odezwał się gospodarz po chwili milczenia — że cię już kochany stolniku niecierpliwić musi tajemniczość moja, to co mię otacza, co widzisz, wszystko to są zagadki, które się rozwiązania dopominają. Przyszła godzina, w której potrzeba żebyś się wszystkiego dowiedział, ale ja nie mam siły ci powiedzieć historji mojej, zbyt boleśnie odnowiłaby rany... Ot — rzekł — księga z której ją sobie odczytasz, tu czy w Warszawie. Z tego, co się dowiesz możesz swoim opowiedzieć, co uznasz potrzebnem.

To mówiąc dobył Żeliga księgę z szafy i położył ją przed Barcińskim.

— Nie lękajcie się — rzekł — ogromu, nie całą ja ją zapisałem. Był w rodzinie naszej jak w wielu innych zwyczaj notowania wypadków życia i dziejów swojego czasu. Ci co tworzyli historję pisali ją, ci co żyli spokojnie spokój swój opisywali. Ojciec i dziad mój notowali tu sprawy i dzieła urzędowe życia poświęcone krajowi; jam te karty zamknął osobistą a bolesną przygodą moją, która popchnęła całego mnie..,

Zamilkł smutnie i książkę posunął.

— Dowiecie się — dodał — całych dziejów moich...

To rzekłszy ścisnął rękę Barcińskiego i mimo bijących piorunów wyszedł powoli z domku dążąc do swej pustelni. P. Marcin widział go kroczącego po ulewie, zwolna, wśród błyskawic, szedł tak aż do furty pogrążony w zadumie i znikł mu z oczów nareszcie.

Barciński chciwie księgę wziął w rękę i czytał.

Rękopism zostawiony rozpoczynał się notami z szesnastego wieku, w rodzaju tych, o których Paprocki pisze, że się w domu Tęczyńskich znajdować miały; zapisywali różni z kolei życia swego główne wypadki, daty małżeństw, urodzin i śmierci. Szczegóły biograficzne przeplatały akta urzędowe, tak jak życie ówczesne na pół było domowem, pół publiczną służbą, często więcej nią niż spoczynek u rodzinnej strzechy. Zmieniło się nietylko pismo, ale notat charakter, ku końcowi i suchsze były i dłuższe, w epoce czynu wielkie fakta zapisywały się w dwóch słowach, później jedno nic rozlewało się na mnogich stronicach. Na końcu, rozpoczynało się opowiadanie Żeligi, pisane świeżo, prędko jakby umyślnie dla wypowiedzenia przed ludźmi tylko.

„Roku 1760 die Semptembris ultima, ojciec mój... wojewoda... w roku życia swego ośmdziesiątym i trzecim, zeszedł z tego świata do wiekuistej przenosząc się chwały, w majętności swej P..anach na Rusi. Ostatki życia jego ciężką nawidzone były niemocą, gdyż przez lat dwa z łoża już się nie podnosił, straciwszy w nogach władzę. Starszy mój brat Stanisław, z pierwszego jegomości p. wojewody małżeństwa zrodzony, z polecenia ojcowskiego i też z konieczności wszystkiemi sprawami się zajmował. Było nas troje z rodzeństwa, pomieniony Stanisław z pierwszego ślubu i ja z siostrą Teresą z drugiego jegomości małżeństwa. Niech Bóg uchowa bym sercu ojcowskiemu, które z razu nie wiele dla mnie i siostry okazywało czułości, wymówki miał czynić; wiele się do tego okoliczności przyczyniło, winna też była niemoc i zgryźliwość z cierpienia ustawicznego pochodząca.

Małośmy też jegomość rodzica naszego znali oboje, i on nas też, zawczasu bowiem, zaraz prawie po śmierci matki naszej, mnie odesłano do konwiktu OO. Jezuitów, zkąd nawet czasu wakacji do domu udać się nie miałem pozwolenia; siostrę zaś moją w klasztorze lwowskim panien Brygitek lokowano, jakoby próbując na niej wokacji, która się wszakże nie objawiała, bo do stanu duchownego nie czuła się powołaną. Obcy więc prawie byliśmy dla domu rodzicielskiego. To oddalenie nasze i małą przez długie lata czułość ojcowską, której pozbawieni prawie byliśmy dowodów, przypisać należało obcym nam nieprzyjaznym wpływom, rodziny pierwszej żony jegomości p. wojewody.

Matka nasza wcześnie zgasła, nie wniosła w dom starożytny do którego *insperate* wchodziła ani bogactw, ani zaszczytów, była bowiem ubogą szlachcianką a prawie sługą w tym domu, którego na krótką chwilę miała zostać panią; ale wielkiem poszanowaniem dla rodzica i miłością ku niemu nagrodziła pewnie na czem jej zbywało ze strony majętności i imienia.

Wielka niechęć całej zresztą rodziny p. wojewody przeciwko matce naszej, którą niegodną być tak wielkiego szczęścia sądzono, dziwując się trafowi i kaprysowi (jak zwano) które ją wyniosły na dostojną senatora małżonkę, przyczyną była, że do niej i do dzieci jej się zniechęcił. Zaraz bowiem po weselu, na które nikt z zaproszonych familjantów przybyć nie chciał, rodzina pierwszej nieboszczki żony p. wojewody odebrała nawet syna z pierwszego małżestwa zrodzonego p. Stanisława, nie dopuszczając, aby się w domu przy matce naszej chował, a na swą go biorąc opiekę, gdyby sierotę. Goryczą to napoiło śp. wojewodę, gdyż do dziecięcia tego mocno był przywiązanym. Dopiero po śmierci matki mej, gdyśmy oboje ja i Teresa do klasztorów rozesłani zostali, z wyraźnem zastrzeżeniem żeśmy do życia zakonnego destynowani byli oboje, zwrócono p. Stanisława ojcowskiej opiece. Ta krzywda wyrządzona przez familję pierwszej żony panu wojewodzie, zamiast go ku niej zniechęcić, dla nas go tylko uczyniła obojętnym i prawie zagniewanym.

Pomnożyły okoliczności tę obojętność i gniew raczej ojcowski ku mnie i ku Teresie tak, żeśmy już rodzica prawie nie znali, bo wiele z naszego powodu, jakoteż dla powtórnego małżeństwa swojego cierpiał. Nic przecie nieboszczce matce naszej zarzucić nie mogła rodzina do której weszła, krom jej ubóstwa i szlacheckiego imienia, a ciężko opłaciła ona to szczęście swe, przepłakawszy resztę żywota, gdy ujrzała się odepchniętą a rodzica też z jej powodu umartwionego, cierpiącego wielce i los dzieci swych, przewidując bezustanku, a nim sobie życie skracając, we łzach bezprzestannych.

Ponieważ na losy moje przyszłe, jakoteż ukochanej siostry mej Teresy, to małżeństwo rodzica wielce wpłynęło, a było można powiedzieć wyrokiem na nas, niżeliśmy na świat przyszli, muszę więc nieco obszerniej powiedzieć tu o niem. W pierwszem małżeństwie swem z księżniczką S. p. wojewoda nie bardzo był szczęśliwym, chociaż sobie do wyrzucenia nic nie miał. Już nieco podżyły umyślił się żenić, gdy siwieć poczynał, raczej ku temu familja go skłoniła sama mu stręcząc księżniczkę z rodu, bogactw i wieku za stosowną ją dlań żonę uważając. Nie była nigdy p. wojewodzina piękną, a wiek nieco poważniejszy, którego doszła w panieństwie z powodu, że dwóch narzeczonych z kolei umarło, uczynił ją nieco zgryźliwą. Może też i inny jaki afekt, którego się wyprzeć musiała, jak to powiadano, życie jej zatruł; dosyć, że wojewoda w tem pierwszem ożenieniu szczęścia, jak mówiono nie zaznał. Nie trwało ono nad lat kilka, a zostawiło mu po sobie jednego tylko syna, mego brata starszego p. Stanisława, do którego ojciec się bardzo przywiązał w braku innego afektu. Nieboszczka matka moja wychowała się we fraucymrze księżnej L. z księżniczki na dwór wojewody przybyła, a po śmierci jej pozostała dla zarządu domu. Charakteru łagodnego i wielkiej piękności, słodziła jak mogła dobrocią swą i utrapienia lat pożycia małżeńskiego i później wdowieństwa ojca naszego, który się do niej powoli wielce przywiązał. Nigdy śp. matka nasza znając kondycję swą szlachecką i nierówność stanu, jakoteż ubóstwo i sieroctwo, myślą nawet nie sięgnęła po wysoki zaszczyt zostania małżonką wojewody, a gdy, jak mi to poufały przyjaciel jej opowiadał, bom ja jej prawie cale nie znał i nie pamiętał, gdy p. wojewoda pierwszy raz z życzeniem zaślubienia jej się przed nią otworzył, przestraszona, nie mało łez z tego powodu wylała i więcej uchronić się tej doli niżeli ją sobie pozyskać pragnęła. Owszem bardzo długo opierała się woli p. wojewody, reflektując go i prosząc, aby zamiaru swego zaniechać raczył. Na nic to wszakże się nie przydało, p. wojewoda na samotność bolejąc, szczęścia nie zakosztowawszy, postanowił niezmiennie, familji się nie radząc tylko serca własnego, uczynić po swej myśli. Matka moja błagała go i prosiła, dom nawet chcąc skrycie opuścić, aby przewidywanych nieszczęść uniknąć, nie żeby serca do p. wojewody nie miała (bo go kochała szczerze, i szanowała wielce,) ale że jasno widziała przyszłość i mogła wcześnie przeczuć, jakie to małżeństwo następstwo za sobą pociągnąć musi.

Wojewoda o zamierzonej ucieczce przez swych dworskich się dowiedziawszy, nietylko siłą prawie stanął jej na zawadzie, straże porozstawiawszy pilne, ale zniecierpliwiony, nie pytając nikogo przyspieszył swój ślub, zaledwie na dni kilka przed nim listami dawszy znać o swem postanowieniu rodzinie.

Chociaż listy te dosyć późno wyprawione były, natychmiast wszakże dla przeszkodzenia małżeństwu zbiegli się bracia stryjeczni, siostry, stryjowie, synowcowie, siostrzeńcy i dalsza familja, perswadując, prosząc, błagając; a gdyby koniecznie żenić się zamierzał, stręcząc młode i urodziwe panny pięknych imion i kolligacyj, aby tylko osoby nieznanego imienia i krwi niepańskiej do domu nie wprowadzał, i sługi nie podnosił do tego zaszczytu, aby miejsce pośród patrycjatu zająć miała. Nic i to wszakże nie pomogło, wystawiony na prośby natarczywe, na błagania i groźby, wytrwał wojewoda oświadczając uroczyście, że nie odstąpi od zamiaru, co tak familję rozgniewało, iż nazajutrz wigilją ślubu, po ostatecznej rozmowie, wszyscy się rozjechali, a brat nieboszczki wojewodziny, dziecię jej z sobą niemal gwałtem zabrał, nie chcąc go przy macosze zostawiać, choć ta najstaranniej wychowaniem się jego zajmowała. Otóż jak w smutnych okolicznościach przyszło do skutku to nieszczęśliwe małżeństwo.

(C. d. d.)

O wrażeniach zmysłowych

przez

Dr. Julijana Ochorowicza.

(*Ciąg dalszy*).

W ogóle możemy uważać siatkówkę za pewną odmianę organu dotykowego owych ciałek dotykowych. Z tą tylko różnicą, że tu wraz z większą subtelnością bodźca i sam organ stał się subtelniejszym i składa się z nierównie większej liczby nierównie delikatniejszych pałeczek i włókien. Tak samo jak dotykiem tak też i okiem czuć możemy, czy działa na nie tylko jeden bodziec umiejscowiony czy kilka, i o ile są odległe od siebie. Odstęp między dwoma wrażeniami świetlnemi może być nawet bez porównania mniejszym, aniżeli między ukłóciami dwu nóżek cyrkla.

Cała siatkówka zajmuje mniej więcej 15 cent. kwad. — lecz tylko 1 jej m. m. (plama żółta) może jasno ujmować przedmioty. I na 160 stopni widnokręgu, które wzrok w ogóle obejmuje, tylko jeden stopień *wyraźne daje* wrażenia. To też np. przy czytaniu książki musimy co chwila przesuwać okiem to w tę to w drugą stronę.

To jednak ograniczenie, jest dla nas dobrodziejstwem — w przeciwnym bowiem razie, t. j. gdybyśmy za każdym rzutem oka całą masę przedmiotu dokładnie widzieć musieli, w myślach naszych zapanowałby straszny chaos z powodu rozstrzelania uwagi. Tylko w takim razie rozszerzenie pola dokładnego widzenia mogłoby być pożądanem, gdyby wraz z niem nastąpiła zarazem zmiana w naszej organizacji umysłowej, t. j. gdybyśmy mogli myśleć współcześnie o wielu rzeczach z równą dokładnością.

Tymczasem jednak faktem jest, że ponieważ rozwój naszych zmysłów poprzedził rozwój umysłu — więc też pierwsze nadały drugiemu swój charakter i za ograniczeniem pola zmysłów poszło ograniczenie uwagi. Mogąc widzieć tylko jednę rzecz dokładnie naraz, mogliśmy też myśleć dokładnie o jednej tylko.

Nie należy jednak przesadzać owego faktu ograniczoności, jak to czyni dziś jeszcze bardzo wielu. Powiadają np. że wszelka współczesność wrażeń jest mrzonką, i że my tylko jedno jedyne wrażenie w danej chwili ująć możemy. Jestto spór odwieczny i zawsze do niczego nie prowadzący. Najprzód bowiem trzeba się porozumieć co do tego, co jest jedno wrażenie, a co dwa. Czy np. wrażenie wiersza drukowanego jest pojedyńczem czy też zbiorem wrażeń. Co do mnie jestem stanowczo za ostatnią opinją. Wrażenie druku nietylko nie jest pojedyńczem ale jest nawet bardzo złożonem — składa się bowiem z wrażeń koloru białego i czarnego, z wrażeń szczegółowych określających kształt każdej litery, każdego wyrazu i t. d. A cóż dopiero mówić o wrażeniu krajobrazu, które z tylu najrozmaitszych wrażeń szczegółowych powstaje. Tak więc zdanie, że w jednej chwili tylko jedno pojedyńcze wrażenie ująć możemy, nie ma żadnej podstawy i owszem, ujęcie jednego tylko pojedyńczego wrażenia bez pomocy innych jest niemożliwem. Ażeby ująć coś świadomie, musimy to coś odróżniać od czegoś innego i właśnie dla tego tylko spostrzegamy litery, że się różnią od białego tła papieru. Taka różnorodność przynajmniej dwu współczesnych wrażeń jest niezbędnym warunkiem każdego wrażenia.

To tylko pozostaje pewnem, że przy większej ilości wrażeń, jasność ich zaciera się wzajemnie, i że dwu szeregów wrażeń, od różnych zmysłów pochodzących, jednocześnie z zupełną dokładnością śledzić nie możemy; krótko mówiąc jeżeli jedno wrażenie ma być świadomem, musi ich być więcej niż jedno, lecz im ich jest więcej, tem więcej od pewnego stopnia zamiast pomagać sobie wzajemnie — wzajemnie się paraliżują.

Dla objaśnienia różnych rodzajów wrażeń wzrokowych, mianowicie wrażeń różnych kolorów, przypuszczają niektórzy fizjologowie z Yungiem i *Helentothem*, że istnieją trzy rodzaje włókien dla trzech zasadniczych kolorów widma słonecznego: *czerwonego*, *zielonego* i *fjoletowego*. Inni przeciwnie jak np. *Wundt* sądzą, że przypuszczenie to jest niepodobnem, ponieważ nie mamy władzy rozkładania okiem kolorów mięszanych na pojedyńcze, jak to ma miejsce odnośnie do tonów akordowych w uchu.

Na poparcie pierwszego przypuszczenia przytaczają*) następujące doświadczenie, które każdy powtórzyć może. Jeżeli patrząc jednem okiem wprost przed siebie, z boku trzymać będziemy jakiś przedmiot czerwony np. laskę laku lub czerwony ołówek, to przekonamy się, że przesuwając go w bok natrafimy na taki punkt, w którym przedmiot ten naraz wyda się czarnym. Stąd wnoszą, że przy takiem ukośnem padaniu promieni natrafiają one na te brzeżne miejsca siatkówki, w których brak jest włókien odczuwających kolor czerwony. Na nieszczęście jednak ani we włóknach, które zupełnie są jednorodne, ani w czopkach, które też bardzo niewiele różnią się od siebie, dotychczas nie wykryto takiej różnicy anatomicznej, która by to przypuszczenie popierała; — musimy więc pomimo stanowczych

*) Naprzykład: Bernstein w wybornem swem dziełku: Die fünf Sinne der Menschen 1875.

twierdzeń Bernsteina w ostatniem jego dziele, całą rzecz pozostawić w zawieszeniu. Daje się bowiem przypuścić, że tak jak przy dotyku, nacisk, ciepło i ból po tych samych nerwach idąc, zależą tylko od warunków szczegółowych i siły bodźca, tak samo też i wrażenia różnych kolorów zależą od różnicy bodźca i warunków szczegółowych.

Zostawiając jednak objaśnienie zjawisk w zawieszeniu, musimy przytoczyć same zjawiska. I tak np: istnieją ludzie nie umiejący odróżniać koloru czerwonego od innych. Najwięcej mięszają ten kolor z ciemnozielonym lub żółtym. Lecz ponieważ wszyscy nazywamy krew czerwoną, a trawę zieloną, więc też i oni ją tak nazywają nie spostrzegając wcale, że drobna różnica jaką widzą pomiędzy kolorem ciemnozielonym a czerwonym wcale nie jest dokładnem ich poznaniem. Dopiero gdy widzimy te osoby wybierające pomiędzy jednakowemi przedmiotami różnego koloru, mo żemy wykryć ich słabość wzrokową. Są także osoby dla których kolor niebieski, zielony i żółty są jednakowe i w wyobraźni ich przedmioty przedstawiają się tylko tak jak na fotografji, t. j. odróżniają się tylko cieniami. Niektóre środki lekarskie np. *santonina* wywołują podobne znieczulenie na wrażenia kolorów innych oprócz żółtawo zielonego, które wszystko zabarwia.

Podobne zjawiska przedstawiające najrozmaitsze stopnie, objaśniają nam stałą różnicę kolorytu w obrazach pewnych malarzy. Jedni z nich malują zawsze wszystko blado i jakby za mgłą, inni znowu zbyt jaskrawo — a jedni i drudzy sądzą przecież, że wiernie oddają naturę. Nie wskazując osobistości nadmienię tylko że np. dobrze są znane publiczności warszawskiej z Wystawy Sztuk Pięknych obrazy jednego z utalentowanych artystów który zawsze trawę i drzewa maluje żółtawo — w sposób tak rażący, że wyglądają jak jakaś siekanina jajek ze szczypiórkiem; a jednak całość obrazów zdradza biegłego artystę. Podobnież trafia się, że u malarza podeszłego wieku, soczewka staje się żółtą i w skutek tego kolor błękitny którego używa do malowania tła nieba staje się zbyt mocnym, ponieważ malarz widzi go bladym przez pryzmat żółtości. Możemy pojąć to złudzenie patrząc na kolor błękitny przez szkło żółte, wówczas wyda on się nam znacznie bledszym.

Można te zjawiska objaśniać brakiem odpowiednich włókien, albo też tylko pewną zmianę w działalności włókien zresztą jednorodnych.

Wszystkie zasadnicze rodzaje kolorów mieszczą się w tak zwanem widmie słonecznem. Jeśli biały promień światła przepuścimy przez pryzmat, wówczas rozkłada się on na siedm innych, które na płótnie lub białym papierze wyraźnie występują.

W szeregu tych barw szczegółowych widzimy zawsze jeden stały porządek: po czerwonej idzie pomarańczowa, żółta, zielona, niebieska, ciemnobłękitna, wreszcie fioletowa. Te przejścia jakie tu widzimy np. od czerwonego do żółtego, albo od zielonego do niebieskiego uważamy za naturalne, inne zaś takie jak np. od czerwonego do zielonego nie dają się wyobrazić inaczej jak przez pośrednictwo żółtej farby.

Porównywając ten skład farb z klawiaturą tonów widzimy pewne zbliżenia obok różnic. Jak w oktawie siedm tonów, tak tu mamy siedm barw; ale tu barwy przechodzą zupełnie stopniowo w siebie, podczas gdy w tonach nie ma tej ciągłości. Nadto w składzie barw nie ma nic takiego coby się dało porównać z wyższemi oktawami tonów — gdyż jaśniejszy lub mocniejszy odcień kolorów nie będzie stanowił ich zmiany jakościowej. Musimy więc raczej porównywać całą klawiaturę tonów z widmem słonecznem. Jak tam tak i tu różnice jakościowe wrażeń sprowadzają się do ilościowych. Fizyka nas uczy, że światło jest drganiem eteru, że rozchodzi się falisto, tak jak wszystkie inne rodzaje ruchu i że różne pojedyncze promienie postępując od czerwonego do fioletowego odróżniają się coraz to krótszemi falami. Im zaś fale krótsze, tem dłużej musiałoby trwać przenoszenie się światła — ponieważ jednak tak nie jest, ponieważ promienie widmów składające jeden złożony promień biały, przebiegają razem z równą szybkością, prosty więc wniosek, że te promienie które mają krótsze drgania muszą ich robić więcej, aniżeli te które mają dłuższe. I tak, podczas gdy czerwone światło ma około 450 bil. drgań na 1 sek. — żółte około 526 bil. — zielone około 640 — błękitne około 720 a fijoletowe 790. Tak więc tu zupełnie tak samo jak w tonach jakość ich zależy wyłącznie od szybkości czyli od ilości drgań na sekundę. My ujmujemy jakościowo tylko pewne okresy tej skali i nazywamy je odrębnemi kolorami — inne zaś oko jakiejś doskonalszej od nas istoty mogłoby ocenić więcej takich okresów jako odrębne, podczas gdy dla nas są one tylko przejściem od jednego koloru do drugiego. Jak zaś pomiędzy pojedynczemi barwami widma, tak też i na końcach całego widma nie widzimy ścisłej granicy; zarówno czerwony jak i fijoletowy koniec czernieje tylko stopniowo i nareszcie robi wrażenie koloru czarnego, t. j. właściwie braku koloru. Że zaś i po za końcami widma, istnieją jeszcze drgania, tylko już nie dające wrażeń wzrokowych, dowodzi tego ta okoliczność, że ciemny koniec widma od strony czerwonej ma własności cieplikowe, a zaś przeciwny fijoletowej chemiczne. Tak więc drgania, które nie zaczęły być światłem, są dla nas ciepłem — a drgania jeszcze szybsze od fijoletowego światła, stają się czynnikami chemicznemi. Przepuszczając zwykłe promienie światła, które i świecą i grzeją przez pewne płyny chemiczne, możemy je rozdzielić w ten sposób, że światło zostanie pochłonięte, a tylko ciepło pod postacią ciemnego promienia przejdzie dalej. (C. d. n.)

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

Jana Kubarego.

(Ciąg dalszy.)

Ale dość już o tych skałach i wyspach, gdyż moglibyście posądzić mnie, że chcę imponować jakąś erudycją, a zupełnie inny cel miałem przy tem rozwlekłem pisaniu do was o powyższych rzeczach. Chciałem wam tylko dać poznać rodzaj mego zatrudnienia i warunki w jakich wiedza moja obecnie dojrzewa. Najgłówniej zaś miałem na celu przekonać was i tych, którzy podobną mojej pójdą drogą, jak konieczną, nieodzownie potrzebną jest głęboka nauka, a przedewszystkiem teorja. Im człowiek do wyższych celów chce dążyć, im do większych przedsięwzięć czuje się być zdolnym, tym większe musi posiadać materjały naukowe, inaczej upadnie złamany pod ogromem zadania. Ja naprzykład, aby z zupełną korzyścią wyeksplatować przyrodę Oceanu wielkiego, aby o niej módz porządnie myśleć, powinienem być skończonym myślicielem—filozofem. Tymczasem, ja choć czuję wielkość i majestat przyrody – ślepy dotykam progów prowadzących w jej dziedziny — ale nie widzę wejścia. Jestem tylko zbieraczem, tak jak i gałganiarz jest zbieraczem, z tą tylko różnicą, że on przynajmniej wie co zbiera, pozna czy znalazł płótno, czy bawełniany gałgan, jedyną zaś moją pociechą jest to, że zbieram dla nauki. Że p. Taczanowski zaszczyca mnie w swych listach mianem kolegi, jest tylko wypływem zacności jego serca, chce on przytem zachęcić mnie do dalszych zbierań.

Jestem więc głównie zbieraczem, bo nadto przy ogromie różnego rodzaju zajęć, na prawdziwe studjowanie zbywa mi na czasie, a przytem nie mam wyczerpujących podręczników.

Obrałem sobie jednak następujące działy, które postanowiłem gruntownie zbadać, a mianowicie ryby, raki, mięczaki i promieniaki. Zanim będę mógł sam determinować nieznane może dotąd okazy, czynności tej dokonywają następujący specjaliści. Ptaki idą do Bremy do dra. Hartlaub'a i Finsch'a. Ryby do profesora Kner w Wiedniu; pająki do dra L. Koch w Norymberdze. Doktor F. Brauer i dyrektor baron v. Wattenwyl determinują Orthoptera (Prostoskrzydłe) Dr. F. Brauer Neuroptera. (Siatkoskrzydłe) Dr. C. A. Dohrn, E. Weyers i baron v. Harold, determinują Coleoptera (Tęgopokrywe czyli chrząszcze), dr. Siechel, Hymenoptera (Błonkoskrzydłe), dr. Herrich Schäffer, Lepidoptera (Łuskoskrzydłe czyli motyle), dr. R. Schiner Diptera (Dwuskrzydłe), prof. C. Stal Hemiptera (Półtęgopokrywe), prof. Milne Edwards raki, prof. E. Grube robaki, prof. Mousson i prof. W. Duncler Cephalophale i Acephala, prof. C. Semper i dr. Chr. Lütken Jeżoźwierze, senator dr. Kirchenpauer Bryozoa i Hydroidy, prof. Källiker Alcyonaria.

Zważywszy na ten szereg nazwisk i tytułów mających w nauce wyrobione już stanowisko, zadowolić się muszę na teraz tem, że owoce mej pracy przedstawione są światu przez takich dygnitarzy nauki, przyczem kiedy niekiedy okruszyna zasługi i mnie się dostanie.

Za to występuję samodzielnie w mych opisach, naprzykład mój „Bericht über die Pelau Inseln," drukowany w Journalu Muzeum Godeffroi, zyskał sobie chlubne uznanie w Europie.

Zajrzałem także i w dziedzinę geografji i tu posiłkowałem się co do wysp pellewskich mapą Mac Chluera, ale im więcej poznawałem te wyspy, przekonałem się, że karta owa jest niedokładną i poświęciłem dużo czasu i studjów, aż uzupełniłem ją i poprawiłem. Posłałem ją do Europy i była publikowaną u Friedrichsona w Hamburgu.

Ps. Znowu djabelne rozczarowanie! Okręt! Lecę na spotkanie — widzę, ale francuski, obcy, nic mi nie przynosi. Okropność! Za kilka dni precz idzie, przynajmniej więc do was pisać mogę, a listy przez Hongkong, w półtora miesiąca was dojdą.

Znów znajduję się w stanie nieokreślonym. Wszystko jest około mnie znakiem zapytania, a z obłoków nie potrafię wyczytać przyszłości. Chciałbym jak najlepiej, ale nie wiem czego chcę. Chcę powrócić i widzieć was, to znów chcę zostać...

Mój okręt nie przybywa, moje zapasy wyczerpane, szczęściem, że Francuz przybył, oberwie się coś i dla mnie.

Sto dwadzieścia pak naturaljów mam gotowych i tylegrafuję przez Hongkong do Hamburga, aby przysłali okręt, który ma mnie ztąd zabrać, aby mnie przenieść na wyspę Ascension, czyli po miejscowemu Ponepe, która jest najgłówniejszą wyspą z grupy wysp Sieniawina, odkrytych przez rossyjskiego admirała Lütke.

Ascension czyli Ponepe w Listopadzie 1873 r.

Po kilkoletnim pobycie na wyspach Pelawskich, znalazłem się znowu na pokładzie brygu. Było to w Maju 1873 r. Przez Karoliny Wielkie podążyłem na Wschód. Z podróży tej tyle tylko zanotować tu mogę, że zwidziłem wyspy Uleaj, Morllocka i Montewerda. Na każdej z nich spotkałem rasy różniące się między sobą. Krajowcy o mowie odmiennej od pelawskiej i japskiej. Mieszkańcy wszędzie łagodni i podobni do poprzednich, choć różniący się rozmaitemi zwyczajami i sposobem życia, jak tego wymagają ich wyspy, będące tylko ubogiemi atolami koralowemi.

Po trzymiesięcznej włóczędze po Oceanie i po wyżej wymienionych wyspach, płynąłem dalej na Wschód ku bazaltowym skałom wysp Sieniawina.

Zamysł mój bezpośredniego powrotu do Europy musiałem wskutek zbiegu okoliczności porzucić i wszystko obiecywało mi konieczność kilkomiesięcznego pobytu na grupie wysp Sieniawina. Myśl ta nie napawała mnie wielką radością, gdyż stosunki, w których miałem się znaleść — oddawna są okrzyczane na Oceanji.

Samotne i spokojne wędrówki, gdzie czasem przez rok cały żaden Europejczyk nie skrzyżował mej drogi, były po za mną na Zachodzie, na Ponepe czekało na mnie towarzystwo licznych okrętów, Europejczyków, misjonarzy i krajowców znających biblję, dolar i wódkę, same okoliczności owładające mnie niezadowoleniem.

Dziwnem to się może wydawać, że przez kilka lat, osamotniony wędrowiec, nie cieszy się na myśl ujrzenia reprezentantów cywilizacji i własnych współładowców. Lecz choć wody Oceanu nie wskazują śladów dróg, a pojedyncze wyspy i grupy rozdzielone są setkami mil morskich fali, świat tutejszy jest jedną wioską, gdzie ciekawość i gadatliwość ludzka, namiętności i wady, tak samo panują jak i u nas. Kapitanowie żeglujących tutaj okrętów, są naszymi kramarzami, którzy przybywszy, wydobywają naprzód swe nowiny, a potem towary, nic więc dziwnego, że żyjąc sam na samym końcu Karolin, byłem znanym na każdej wyspie, gdzie Europejczyk się osiedlił i z drugiej strony znałem zupełnie mi obcych.

Długo przed ujrzeniem szczytów Ponepe, wiedziałem, że jest to raj „biczkomberów“ istot zupełnie nieznanych w krajach ograniczonych prawami a nie morzem.

Biczkomber znaczy dosłownie — przychodzień od brzegu, co by nas skłaniało przyjąć, że są oni nadbrzeżnemi krajowcami, lecz rzecz się ma zupełnie inaczej. Winni oni się nazywać „shipkomer“ to znaczy: okrętozbieg, gdyż falangi ich rekrutują się z okrętowych osad. Są to żeglaże, którzy syci trudów i chwały swego zawodu, najczęściej zadłużeni u swych kapitanów, wiedzeni zawsze obrazem okrągłych piersi i zwodniczo tatuowanych bioder piękniejszej połowy ponepskiej ludności, dają nura z pokładu w tutejsze lasy, by po odejściu okrętu, okazać się w postaci biczkombera i pędzić żywot snów swoich.

Cuda awantur słyszałem o tych istotach, zadziwiających mnie jako naturalistę, wskazując wszechstronność i giętkość naszych europejskich ucywilizowanych umysłów.

Krajowcy tych pozornie tak błogich krajów, zostali skąpą obdarzeni przyrodą. Ta nie dała im ani świń, ani psów, ani kotów, ani nawet europejskich lub amerykańskich pojęć. Wypływa z tego, że są oni w pojęciach białych, łajdakami, nigrami, kanakami dzikiemi — słowem bydłem. Biały zniży się do łaskawego wyzyskania ich w sposób wcale nie łaskawy, ale bynajmniej nie uzna ich za równych sobie. Religja i prawa są blagą, obrzydły rozpity majtek i wykształcony kapitan są braćmi, gdyż idee ich dotyczące Oceańczyków są jedne. Czynnikami ich rachunków są: nieobecność praw ani władzy podtrzymania tychże gdyby były, skutkiem czego wszystkie miejscowe obyczaje, które są tak samo prawami jak nasze drukowane kodeksy, są przez białych łamane, przez co i krajowcy zachęcani są do nieszanowania tychże, w następstwie czego w największej liczbie miejsc, gdzie biały się osiedla, subordynacja ustaje i jest moralny dualizm. Europejczyk łże i kradnie za stu wyspiarzy, gdy jednak przyjdzie znieść konsekwencje czynu, zmienia barwę i staje się ucywilizowanym Europejczykiem zagrożonym przez czarnych dzikich kanibalów. zasłania się swą flagą; w końcu giętkość pojęć dozwala mu stać w zasadach kosmopolityzmu i stosownie do własnego interesu, gotów być krajowcem, to białym, to żadnym z tych obu. (C. d. n.)

Zarys historji kobiety w Rossji.

Według Szaszkowa skreślił

Dr. Jan Stella Sawicki

(*Ciąg dalszy.*)

W instytutach dla dziewcząt uczono jak najgorzej. Smolny instytut założony przy Katarzynie II, z którego wyszło dotychczas około 8000 dziewcząt, był rozdzielony na dwa oddziały: jeden dla panien, drugi dla służących. Jak pierwszych tak i drugich uczono cudzoziemskich języków, rozumie się tych ostatnich tylko w interesie pierwszych. O umysłowy rozwój nie dbano zupełnie; starano się tylko rozwinąć gust do sztuk pięknych. Uczono francuskiego, niemieckiego i włoskiego języka, architektury, heraldyki, rzeźbiarstwa, rysowania, tańców i muzyki, toczenia, ręcznych robot, historji, geografji, fizyki eksperymentalnej i arytmetyki. Dzieci trzymano w zamknięciu jak w więzieniu, odejmując im wszelką możność poznajomnienia się z życiem. Celem wychowania był nie rozwój umysłu, a tylko uczuciowej strony. Z tąd też wszystki instytutki były zawsze naiwne do śmieszności i strasznie sentymentalne. Dziesięcioletnie dziewczęta marzyły o miłości, „ubóstwiały“ nauczycieli i odwidzających zakład, a wcześnie zbudzona wyobraźnia na całe życie brała przewagę nad wszystkiemi innemi zdolnościami. Zdarzało się nawet, że instytutki oddawały się pijaństwu, sprowadzając wódkę przez posługę; nauczyciele nieraz psuli moralność swoich uczenic, a była nawet dyrektorka, która ze swego zakładu zrobiła coś na kształt parc aux cerfs Ludwika XV. O umysłowym rozwoju instytutek i mowy być nie mogło.

Jak uczono w instytutach można się przekonać z tego, że gdy w 1856 roku przysłano do smolnego klasztoru drewniane kolekcje figurek zwierząt dla nauki zoologji, profesorowie nie odważyli się pokazać tych zwierząt dziewczętom w tym nieprzyzwoitym stanie, w jakim one wyszły z rąk natury, a zrobili niektóre zmiany i ulepszenia. Zatrzymując rozwój umysłowy dziewcząt, a zajmując się tylko „moralnem“ ich wychowaniem, pod którem to słowem pojmowano bezwarunkowe posłuszeństwo naczelnicom zakładu i niewolnicze nadskakiwanie starszym; instytuty wypuszczały uczenice swoje moralnie i fizycznie okaleczone.

Tym sposobem domowe i publiczne wychowanie chorobliwie nastrajały nerwowy system kobiety, nie rozwijały jej rozumu, nie dawały żadnych trwałych wiadomości, które by wytworzyć mogły charakter i kierować ją w życiu. Cóż więc dziwnego, że masa kobiet składała się z jakichś chorągiewek, które nie okazywały żadnego oporu, a kręciły się na tę i ową stronę pod wpływem najsłabszego powiewu otaczającego ją okoliczności. Sentymentalna panienka przemieniała się w tyrankę właścicielkę; dobroduszna i naiwna instytutka — w obrzydliwą urzędniczkę, grabiącą ludzi przez męża łapownika, liberałka XIX wieku w zabobonną i dewotkę. Podobne przemiany szczególnie były częste w początku bieżącego stulecia tej epoki pełnej mistycznych bredni i szarlatanerji.

Mistycyzm, który owładnął umysłami w Moskwie w początku panowania Aleksandra I. był powodem utworzenia się mnóstwa sekt z najobrzydliwszemi dążnościami. Nie będę powtarzał za autorem tego, co się działo w Moskwie w tym czasie, bo pióro odmawia posłuszeństwa, lecz dla zcharakteryzowania przytoczę kilka najniewinniejszych przykładów. Przełożony jednego z klasztorów ogłosił siebie Bogiem, kobietę która z nim żyła Matkę boską, a dziecię zrodzone Chrystusem; nabożeństwo było zastosowane do tego nowego wyznania wiary. Starzec ten żył aż do 1862 roku i umarł w Sołowidzkim klasztorze dokąd go kazał zamknąć Mikołaj. Największy wpływ na umysły wywierał znany archimandryta nowogrodzki Fotyj, kobiety wierzyły mu jak świętemu, i słuchały jego kaprysów, służąc mu za narzędzie tych intryg i tej reakcji, które zaciemniły ostatnie dni panowania Aleksandra I. Codziennie wzywano go gdziekolwiek dla pomówienia o zbawieniu duszy, po czem następowały uczty na większą chwałę Boga. Po tych objadach Fotyj kładł się na kanapie a panie i panny całowały jego ręce. Fotyj robił nawet cuda i owładnął umysłami kobiet. Raz przyszła do niego teatralna figurantka Pawłowa objawiając, że zły duch wszedł w jej ciało. Fotyj wypędził go i zatrzymał ją w klasztorze; potem ta aktorka pokazała się mnichom w sklepieniu cerkiewnem w powietrzu i objawiła, że wszystkie dziewczęta z okolicy klasztoru powinne przychodzi co wieczór do klasztoru, żeby razem z mnichami słuchać jego nauk duchownych. Fotyj kazał wszystkim wkładać jakieś „chitony“ rodzaj długiej koszuli. Ochotniczek zbierało się codziennie więcej; niektóre nawet zostawały w klasztorze; skandal był tak wielki, że musiano go przerwać za wmięszaniem się świeckiej władzy. Po śmierci Fotyja, Pawłowa porzuciła klasztor i wyszła za mąż za swego furmana, lecz ten bił ją tak często, że po jednym z tych małżeńskich traktamentów umarła.

Wtedy, gdy kobiety nerwowego usposobienia

chorobliwej wyobraźni i bardzo rozdrażnionej uczuciowości rzucały się w mistycyzm i dewocję, natury zdrowsze pogrążały się w głąb codziennego życia, hulały, jadły, spały, bawiły się plotkami i głupiały do tego stopnia, że w nich umierała wszelka dążność do jakiejkolwiek zmiany w otaczających stosunkach. Nawet w tym razie, gdy kobieta miała dość rozumu i energji, żeby nie stać się niewolnicą męża, jeżeli w rodzinie swej odgrywała niezależną rolę, życie jej nie dawało nic a nic dla rozwoju jej sił umysłowych i moralnych.

Tak domowe, jak i instytuckie wychowanie kobiety chorobliwie oddziaływało na fantazję i niezmiernie rozwijało uczuciową stronę. Te usposobienia z szczególną siłą rozwinęły się w początku 19 wieku pod wpływem sentymentalizmu szkoły Karamzina i romantyzmu Żukowskiego. Od nieszczęśliwej miłości dziewczęta umierały na suchoty, wieszały się, topiły, a mężczyźni strzelali się, zamykali się do klasztoru lub jechali szukać śmierci na Kaukaz od kuli „Czerkiesa.“ Sentymentalizm doprowadzał mężczyzn do żenienia się z włościankami, a panny do oddawania się swym lokajom i furmanom. Wreszcie uczuciowość i romantyzm wprowadzały delikatność i grzeczność względem kobiety, a ponieważ literatura na to bardzo wpływała, kobiety zaczęły czytać, a nawet same puszczały się na pole literackie. Kierunek ten miał i piękną swą stronę, bo rozwijał w kobiecie uczucie obowiązku względem rodziny, względem mężów i dzieci. W tym czasie po raz pierwszy w moskiewskiej historji spotykamy przykłady prawdziwego poświęcenia obowiązkom matki i żony. Żony decembrystów, którzy zrobili powstanie w początku panowania Mikołaja I, arystokratki, mogące pozostać w stolicy, poszły za mężami swymi na Sybir, do ciężkich robót, na wieczne wygnanie, i ceną strasznych mąk, zbawiły mężów i ich towarzyszy od upadku moralnego, tęsknoty i obłąkania... Za panowania Mikołaja, gdy dzikie zwierzęta biegały swobodnie, a człowiek chował się ze strachu, gdy na wszystkie społeczne pytania nałożono pieczęć urzędową, gdy młodzież musiała milczeć i służyć, lub tracić siły tylko na orgje i rozpustę, bo wszystko inne było wzbronione, jedynym szlachetnym elementem dostępnym dla masy była miłość i poezja. Lecz takie położenie rzeczy nie mogło trwać długo. Kobiety zupełnie nie rozwijały się zachowując ciągle dawny typ swój; miłość znudziła; dusza rwąca się naprzód nie znajdowała w miłości zadość uczynienia; nastąpił perjod rozczarowania, gdy młodzież znudziła się życiem, żartowała ze wszelkich szlachetnych uczuć, ginęła bezpłodnie w pojedynkach i dla zabawy oszukiwała kobiety. Starzejące wcześnie pokolenie schodziło ze sceny z gorzkiem przekonaniem, że nic nie zdziałało a zmarnowało całe życie.

Kobieta cierpiała jeszcze więcej służąc za zabawkę tych nadąsanych i rozczarowanych ludzi. Estetyczny perjod rozwoju społecznego zbliżał się ku końcowi; za ludźmi uczucia zaczęli występować ludzie myśli; z uwolnieniem włościan wystąpiła kwestja usamowolnienia kobiety. Lecz władza ojcowska jeszcze niezwykle była silną. Hr. Andrzej Beztuzin Rumin za kłótnię z ojcem był oddany do jego „rozporządzenia,“ wtedy gdy był już rzeczywistym tajnym radcą stanu, i z woli ojca był pozbawiony tytułu i honorów, i odesłany do klasztoru aż do śmierci.

(C. d. n.)

STUDJA ESTETYCZNE

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

(Ciąg dalszy).

Najpiękniejszą jest może Psyche w płaskorzeźbie wykonana na stali w świątyni Tezeusza. Na niej, jak w ogóle na płaskorzeźbach Praksytelesowych widzimy już postać rzeźbioną z frontu, i przeto rysy twarzy właściwie już wykopłorzeźbą wykonane. Psyche ta w złotej ulatuje swobodzie. Po śmierci lekko opuszcza ziemię i ulatuje do wysp szczęśliwych. Po ruchu z lekka wydętych szat, po podniesieniu główki i wyprężeniu szyi znać że leci. Skrzydeł nie ma wcale, ale lewicą podniosła zasłonę tak, że się wydęła jakby przejrzysty ledziutki żagiel.

Jest to urok i wiotkość. Jest to obraz młodości, bo Psyche ma lat szesnaście, ale jest tu jeszcze coś innego co widza cieszy; tak jak boginie Fidjasza w wiecznem szczęściu zasiadają, tak dusza owej umarłej dziewczyny do wiecznego szczęścia ulatuje. Ona odsłania widzowi kąt zasłony kryjącej przed nim świat zagrobowy, a za zasłoną okazuje uroczy obraz szczęścia. I to widza niezmiernie cieszy.

Stele Ateńskie i Wenus Kapitolińska są to jak się zdaje oryginalne utwory Praksitelesa. Oboje przymawiają do poczucia wdzięku. Posiadamy jeszcze jeden, jak się zdaje, oryginalny utwór tego mistrza, a mianowicie, tak zwanego Fauna Berberyńskiego. Jest to nadzwyczaj miękko i pięknie wyrobione dzieło, które tym razem do komicznego poczucia przemawia. Satyr siadł na poły, a legł na poły na jakiemś łożu z murawy. Nogi zamaszyście zakrzyżowane, tak że jedna stopa na drugiem spoczywa kolanie. Druga stopa sparta o ziemię. Reszta ciała od pasa począwszy na znak zwalona. Prawica podłożona pod głowę, lewica zwisła leniwie.

Ciało dobrze zbudowane przedstawia piękność nagości, ale w mniejszym stopniu od ciała Poliktetowych bogów. Kości bardziej z pod mięśni występują, a mięśnie pokręciły się tak misternie, że rytmiczność plastyczna w wielkiej mierze stracona. Tak wyglądają ciała ludzi prowadzących życie pracowite a prostacze, tak często wygląda ciało naszego Słowiańskiego chłopka. I twarz taką często u nas widać. Kędzierżawy bogaty włos, niskie, muskularne czoło, nos krąglutki, pyzaty, może zadarty z lekka, uszy duże, a nawet trochę ku górze zaostrzone, usta szerokie, nawet przez sen uśmiechnięte, podbródek spiczasty, reszta twarzy krągła, a policzki pyzate. Cała ta postać duża i silna, zdrowa i niczem nie sprośna, względnie nawet piękna, bo będąca ideałem jednego z niższych typów rasy białej, spoczęła w fizycznej sile, pozbawiona znamion wyższego ducha. Nie ma tu potłumienia ducha przez zmysły, nie ma zeźwierzęcenia, bo i jedno i drugie byłoby brzydkie i przykre; jest tylko bezmyślne pierwotne szczęście w używaniu snu niewinnego. Widz patrząc na owego bezgrzesznego i szczęśliwego śpiocha czuje się wyższym od niego, mimo siły jego i szczęścia, i mimo własnej nędzy i niemocy. A myśl tej wyższości podnosi i cieszy, wreszcie nastraja do uśmiechu zadowolenia. Takie uczucie wyższości nad obcem niezdarnem szczęściem jest to uczucie komiki.

To samo uczucie budził i sławniejszy Satyr młodociany, przechowywany niegdyś w Atenach. Posiadamy dziś w Kapitolińskiem muzeum dość dobrą jego kopję.

Jest to pacholę silne i zdrowe, ale bynajmiej nie boskie, i nie idealne, jedno takie jakiem był za młodu Berberyński faun. Muskuły tylko będą może kiedyś bardziej wyraźne i krępe. Odpoczywając stoi Satyr w niedbałej pozie, i spuścił nieco wcale nie boską głowę, na której są nie loki lecz wełna. W ręku trzyma sopiałkę, i z pod oka patrzy. Snać o figlach myśli lampart potężny choć dziecinny.

I tu siła fizyczna połączona z niższym duszy nastrojem budzi pierwszy stopień komiki. Ale ta komika zaostrzona zagadką wróżącą komiczniejsze jeszcze rozwiązania. Satyr jakieś gotuje psoty. Aby się potocznie wyrazić: on nie taki głupi jak się zdaje. Gdy jakiś człowiek, co wyższość swoją nad nim czuje, albo nawet Olimpijczyk jaki po przed niego przejdzie, gardząc wspaniale on nogę podstawić gotów, a Olimpijczyk z wyżyn niezgrabnie upadnie, i okaże się równie jak my niezdarnym, lecz głupszym od głupiego Satyra, to my się w głos zaśmiejemy. Bo wiemy osobie że nie zawsze grzeszymy rozumem, a wielką to dla nas będzie i komiczną pociechą, gdy ujrzymy że wszystko niezdarne i głupie.

Źródłem uczuć komicznych jest świadomość własnej wyższości, jest radość nad obcą niższością. Uczucie to nie opiera się bynajmniej na współczuciu. Potrzebne dlań jednak potężne złudzenie, bo wyższość nasza cieszy nas wtedy, gdy nas nad żyjące stworzenie wynosi. Wykluczonem jest z komiki wszystko coby nadto silne współczucie budzić mogło, a więc widok zbyt wysokiego piękna, albo zbyt boleśnego upadku. W jednym i drugim razie, albo będziemy się śmiać z niesmakiem, albo będziemy się litować tylko. Uczucie litości nie da się z uczuciem komicznem pogodzić. Złączone przykry tworzą dyskord.

Uczucie litości czyli wzmocnionego współczucia ma samo w sobie wartość estetyczną — i zowie się także w języku estetycznym sztuki, uczuciem poetycznem. Powstaje ono wtedy, gdy obce uczucia we własnej odczuwamy piersi. Takie spotęgowane współczucie bywa miłem gdy nas z wyższemi i pięknemi istotami łączy. W przeciwnym razie bywa brzydkiem. W młodocionym i chłopięcym jeszcze Satyrze połączył był Praksiteles komikę z wdziękiem. W równie sławnym a przechowanym w Watykanie Erosie (Il genio del Vaticano), i w przepysznej Neapolitańskiej Psyszy, owem nadto niestety uszkodzonem arcydziele greckiego dłuta, spotęgował nasze współczucie dla stworzeń wdzięcznych. Posągi to ukochane i przez starożytność i przez czasy nowe. Obydwa bardzo uszkodzone, obydwa niegdyś skrzydlate, jeden przedstawia chłopca, drugi dziewczę kilkunastoletnie. Ciała ich będą kiedyś ciałami boskiemi, wzmogą się kiedyś w potęgę, ale dziś choć już piękne doskonale, wątłe, nikłe i drobne, istne cacka Praksitelesowego dłuta. Główki ich spuszczone na pierś, a powieki tak podniesione, jakby wzrok nie na ziemi bawił, i tylko w własną patrzał myśl. Tak stoją, tak patrzą młodzi u progu życia, gdy z tęsknotę w nieskończoność wejrzą. Tak patrzą w ideał do którego się rwą, i do którego ponoś nigdy nie dojdą. Patrząc na śliczne dzieci owe radujemy się ich pięknem. Patrząc na nie pamiętamy, że i myśmy tak marzyli, i na nowo zaczniemy z niemi marzyć i tęsknić, i wraz z niemi westchniemy, a roskosz będzie w tem westchnieniu.

Współczesny Praksitelesowi Skopos podniósł

rzeźbiarstwo do wysokości właściwej tragiki, budząc uczucie litości dla postaci potężnych i groźnych, gdyż połączenie grozy z litością tworzy piękne uczucie właściwej tragiczności. Skoposa wielkopomnem arcydziełem Niobe, posąg boleści. *) Oryginał tego dzieła znajdował się niegdyś na stoku Akropoli ateńskiej. Dziś posiadamy, jak się zdaje, kopię tylko, ale kopię wspaniałą w galeria dei Uffici we Florencji. Niobe i dziś jest i niegdyś była w towarzystwie dzieci swych i ich nauczyciela; tylko dziś, dzieci te anarchicznie rozrzucone po sali, a niegdyś stały u dwu stron matki, na jednej z nią linji, jakby na przyczołku dorychiej świątyni, i to tak ustawione, że najwyższe postacie najbliżej, a leżące najdalej matki stanęły; i ta całość tworzyła równoramienny trójkąt o bardzo płaskim szczycie.

Niobe chwaliła się niegdyś bogom, że miała dzieci piękniejsze od Latony. Wtedy to Apollo i Artenus zstąpili z nieba, i wytępili strzałami słonecznemi dzieci przechwalone. Matka zaś skamieniała z bolu.

Ma ona kształty i oblicze Fidjaszowej bogini. Długa koszula i chlamida grecka idealnie ją przyoblokły miękiemi przejrzystemi fałdami spadającemi po członkach potężnych. Najmłodsza córka Niobe, żywa joszcze lecz na śmierć skazana, tuli się z przestrachu do matki.

Matka córkę przytrzymuje, tak jakby ją chciała ręką ową obronić przed śmiercią nieuchronną; lewicę podniosła do góry, i tak wyprężyła jakby coś chwycić chciała, aby coś złamać i zgnieść, a może aby się na czemś oprzeć; ale nic nie chwyta, bo z bogami nie dano jej walczyć. Własna tylko szata nieszczęśliwej mnie się w palcach. Obojczyk Nioby wzniesiony, pierś i szyja naprzód wysunięte, gardziel przedłużona kurczowo, a usta na pół otwarte ale z końcami na dół spuszczonemi. Brwi ku środkowi, czoło do góry podniesione, wzrok szuka nieba, a czoło pogodne, oto środki za pomocą których Skopas wyraził bez brzydkiego wykrzywienia twarzy, okropną boleść matki, która traci dzieci przez bogów rażone, która ich ochronić nie może. W postawie piersi, szyi i w ściągnieniu gardła widać, że coś się w ciele i duchu Nioby załamuje. W niej już gaśnie i oddech i wola, a jęk który znać z jej ust wychodzi, musi już tylko niewyraźnie brzmić, podobny do jęku konających. Niobe kona już z boleści — choć zdrowa i bosko potężna na ciele — a kona, bo utraciła wszystkie dzieci, które widz widzi do koła albo martwe albo konające. Ręka jej darmo zemsty szuka, oko modlitwy. I nie mogło być inaczej; bo do kogoż miała się modlić Niobe, gdy sami bogowie byli jej dzieci katami? Nie jej szukać nieba!

(C. d. n.)

*) Wiersz w Antologji przypisuje to dzieło Praksitelesowi.

POSŁANNICTWO PIEŚNI.

Ochrzczona łzami krwawemi,
Wśród nocy długiej, bezsennej,
Widziałam ją — jak z tej ziemi
Wzlatała we mgle promiennej
Tam ku niebiosom... Łabędzie
Śnieżyste skrzydła rozwarła,
A złote pieśni narzędzie
Miękko na łonie oparła.

Jak puchy kwiatów w jesieni
Tak lekko w górę się wiała;
Jak mleczna droga w przestrzeni
Świeciła szata jej biała;
A wieniec niosła na czole
Takiego blasku i woni,
Że gwiazdy iskrzące w kole,
Zazdrością bladły koło niej.

Tak cisnąc do piersi lutnię,
Cudnie wracała ku niebu;
Ale mnie było tak smutnie,
Jakby na widok pogrzebu
Ziemi — co nagle umarła!
Taka nastała noc głucha,
Taka mi ciemność zawarła
Słoneczny dotąd wzrok ducha.!

Więc ku niknącej, ku świętej
Błagalne podniosłam ręce,
A z piersi bolem ściśniętej
Wybiegły łkania dziecięce:
— „Gdzie lecisz duchu przeczysty?
Czemu opuszczasz nas — powiedz!
Gdy przebywamy w dzień mglisty
Przepastny życia manowiec.
W koło zdrad czarnych tysiące,
Grom zwalił drogozkaz wiary,
A kroki nasze tak drżące
Nad brzegiem strasznej pieczary!

O! nie opuszczaj zbłąkanych,
Wsłuchanych w głosy złowieszcze!
Jak uścisk dłoni kochanych
Twój uśmiech krzepił nas jeszcze —
Gdy wszelką świętość zwycięsko
Zdeptały wieku rozumy;
Twe słowo było im klęską,
Bo odczuwając go tłumy
Rzucały zdrajców sztandary..
I nowym duchem natchnione
Leciały pod hasłem wiary
Po męczenników koronę!
Piękną i jasną jak zorza,
Której nic zrównać nie zdoła;
Bo ją uwiła dłoń Boża
Na krwawe ofiarnych czoła.
By jak niebieskie pochodnie
Wiodły nas świecąc w ciemnicy,
Nim wejdziem tęskni przechodnie
Do obiecanej ziemicy!

Długoż tam dążyć potrzeba,
I może za Boską wolą,
Potomkom naszym ją nieba
Zaledwie ujrzeć pozwolą.
Bo naród co Pana kusi,
Bluźnić się panu ośmiela;
Na puszczy wyginąć musi
Jak niegdyś lud Izraela.

Toż biało na naszej drodze
Od naszych rozpierzchłych kości,
I przystanęliśmy w trwodze
Słuchając ducha ciemności;
Co łudząc zdrady trucizną
Już tryumfuje w ukryciu.
O raczej gińmy — ojczyzno!
Bo cóż spodlonym — po życiu!

I ty nas rzucasz w tej dobie?
O! pieśni, jutrzni rozświecie!
I któż przemówi po tobie
By zmarłe rozbudzić to życie?
Kto wskrzesi zapał nasz dumny,
Naddziadów wspomnienia rzewne,
I z szklanej zbudzi nam trumny
Przeszłość — zaklętą królewnę!
Co marzy cudnie snem wiecznym,
Jak święta w złotym obrazku,
W swym dyjademie słonecznym
I w płaszcza monarszym blasku.

O! pieśni! Któż nam powróci
Ojczystej poezji skarby,
Kto w świat ten martwy rozrzuci
Wiosenne tchnienia i farby;
Niebiańskich dźwięków tysiące
W milczące rzuci powietrze,
Uczucia natchnie gorące
I z oczu pomrokę zetrze?
Tyś opiekuńczym aniołem
Mego narodu-tułacza!
A oto spojrzyj, jak czołem
W proch uderzając — rozpacza!
Ostatnie żegna nadzieje,
Niebiosa wzywa do boju,
Jak nad przepaścią się chwieje...
O patrz! aniele pokoju!"

Ciszej.. o ciszej... promienna
Spływa ku ziemi z powrotem,
Jak chmurka bledziuchna, senna,
Potrąca gwiazdy swym lotem,
Aż dźwięknął cichą piosenką
Wszechświatów akord srebrzysty.
Przyciska struny swą ręką...
O! zanuć hymn uroczysty,
Który jak fala powodzi
W serce narodu popłynie.
Wstrząśnie go — zbudzi — odrodzi,
I jasny sztandar rozwinie
Nadziei... O! jeszcze wcześnie,
O potrąć struny te święte!
Duch się uśmiechnął boleśnie
I szepnął z cicha:
— „Pęknięte!
Złota pierś lutni samotnej,
Kochanki wieszczów strzaskana,
W niewoli była sromotnej
Więc ją odnoszę do Pana!

Niech łza harmonji anioła
Z wiekowej rdzy ją oczyści;
Na ziemi nie ma dziś czoła
Godnego laurowych liści;
I nie ma ducha olbrzyma
Godnego natchnienie głosić,
I serca wielkiego nie ma
Coby umiało krzyż nosić!

Gdzież się więc pieśń ma urodzić
Co święci wybranych Pańskich,
Co między ludem ma chodzić
W śnieżystych szatach kapłańskich,
I może odpuszczać grzechy,
Bo słowo jej prawdy księgą,
Rajską słodyczą pociechy
A oraz gromów potęgą!

O! takich mistrzów wy znacie,
Takich wybranych wy mieli,
Lecz odkąd w świętej swej szacie
Po krwawym trudzie spoczęli;
Odkąd na grobach ich marzy
Kamienny posąg boleści,
Z rumieńcem wstydu na twarzy
Słuchacie o nich powieści.

Och! bo surowo i smutnie
Patrzy ten orszak umarły,
Na opuszczoną swą lutnię,
Na te pigmeje i karły,
Pełne nicości a pychy,
Co w szczątki z szat ich odarte,
W uwiędłe laury i szychy
Zdobią swe czoła wytarte!

Duch ich — to starzec bezsilny,
Cel — to bezwzględna rozpusta,
Pierś zimna jak sklep mogilny,
Czynom zadają kłam usta.
Hasłem i Bogiem — użycie!
Choć sztucznym szałem pijani,
Sztuczne łzy leją obficie —
Oto są pieśni kapłani!

Lutnio! i takież to dłonie
Targnęły struny twojemi,
By skarb ukryty w twem łonie
Niebieski skarb—sprzedać ziemi?
Podnieśli z mogił milczącą
Dla zysku budząc jej dźwięki,
Lecz tony dziwnie się mącą

Pod tknięciem niezręcznej ręki;
Odwraca się obojętnie
Tłum zgromadzonych słuchaczy,
Bo lutnia dziko i smętnie
Drży tylko zgrzytem rozpaczy!

Aż pękło śpiewne jej łono
Z westchnieniem ostatniej skargi...
Natenczas pieśniarzy grono
Wszczęło o struny jej targ.
Ach! o jej struny złociste
Miłości, wiary, nadziei!
Które ich dłonie nieczyste
Rwały ku sobie z kolei!

Lecz wejrzał Pan i zarazem
Rozpędził kupczącą rzeszę,
Dzisiaj za jego rozkazem
Umarłą lutnię zawieszę
Na zmarłej gwiazdy promieniu,
Cichym promieniu księżyca,
Co ziemi w sennem marzeniu
Pogodną nocą przyświeca.

Może po latach, lub wiekach
Blask jego kiedy obudzi
O lśniących łzami powiekach
Dziecię wybrane z śród ludzi.
I tak zachwyci ułudnie,
Taką przepełni tęsknotą,
Aż promieniącą tak cudnie
Zechce zdjąć lutnię tę złotą.
I pójdzie wtenczas wytrwale
Wiecznem pragnieniem trawione,
Choćby przez płomień i fale
Po swoich marzeń koronę!
A droga długa, daleka,
A cel wysoki i święty!
Toż wiele trudów go czeka,
W pielgrzymce z wiarą podjętej
Podrze swe szaty o głogi...

Strudzone stopy porani,
Ciemność go zbłąka śród drogi,
I błędny ognik otchłani.
Dziesięć on razy upadnie,
I dziesięć razy się dźwignie,
Ale nie cofnie się zdradnie,
Ale mu pierś nie ostygnie.
Bezmyślnie serca nie strwoni,
Nie odda myśli w poddaństwo,
Złotym się cielcom nie skłoni,
Szanując swoje kapłaństwo.

A gdy sukienkę pieśniarza
W chrześćjańskiej przywdzieje skrusze,
I u ofiary ołtarza
Modlitwą pokrzepi duszę,
Co jak z djamentu kamienia
Hartowną będzie i czystą,
Wtenczas ja anioł natchnienia
Oddam mu lutnię ojczystą.

I pójdziem razem dłoń w dłoni,
Pieśnią jak cudem wód świętych
Na życia umarłej błoni
Ożywiać w głazy zaklętych,
Albo w drapieżne zwierzęta,
Rozbudzać echa radosne,
Wzywać do chóru ptaszęta
I życie zamienić w wiosnę!

Takie jest pieśni zadanie,
Lecz dzień jej chwały daleki...
Bolesne z ziemią rozstanie
Co zda się mówić: „Na wieki!“
I na promieniu nadziei
Zawiesić przyszłość przymusza,
Bo na tłumacza idei
Brakło człowieka — Genjusza!

Lwów 1876. *Marja B.*

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XVI.

Morze świadków.

Ulica, po której szybko kroczył Ramirez, na pierwszy rzut oka wydawała się trudną do przebycia, i gdyby nie panowała pewna regularność w dwóch rzędach domów po obu jej stronach stojących, dziwnie pobudowanych, to możnaby podnieść słuszną wątpliwość, czy kiedy kto miał zamiar przeprowadzenia tędy ulicy. Była pagórkowata, brudna i źle oświetlona; spadzista w jednym końcu, a piaszczysta w drugim. Sam poziom ulicy leżał nisko, co nie dopuszczało ulepszeń, ponieważ istniejące już domy, stały temu na przeszkodzie. Najbliższym rezultatem tego było, że wiele budowli zdawało się nie należeć do ulicy, inne znowu dostępne były tylko zapomocą schodów. Dalszem następstwem tego było, że cała ta część miasta znajdowała się w pewnym rodzaju społecznej banicji i mieszkańcy jej poniekąd stali po za obrębem prawa.

Niektóre z domów, pierwotnie zamieszkałe, były przez rodowitych Kalifornijczyków hiszpańskiego pochodzenia, którzy z konserwatywnemi usposobieniami swej rasy trzymali się ciągle swych *casas*, podczas gdy Amerykanie przenieśli się do nowych, dalszych i dostępniejszych części. Luki powstałe przez wyniesienie się ich, znowu zapełnili krajowcy, tak że owa część miasta znaną była pod nazwą „Dzielnicy hiszpańskiej.“

Przed, lub raczej pod jednym z takich budynków, Ramirez zatrzymał się i począł wchodzić po długich drewnianych schodach, które go w końcu doprowadziły do fundamentów zabudowania. Inna, tak samo długa, zewnętrzna kondygnacja schodów doprowadziła go do werandy, czyli galerji drugiego piętra, — pierwsze piętro zasłonięte było poczęści od wzroku wałem ziemnym. Tu Ramirez znalazł dalsze wąskie schody, wiodące do altany przed bramą. Ta była otwarta. Na dziedzińcu znajdowało się dwóch, czy trzech mężczyzn o brunatnych twarzach, palących cygarety, a którym, pomimo mgły, było jak się zdaje bardzo wygodnie w koszulach i bez kołnierzów, to jest w negliżu, wcale nie zgadzającym się z porą roku. Przy otwartych przednich oknach pokoju, siedziały dwie czy trzy kobiety w powietrznych białych sukniach z falbanami, i w ciężkich szalach na głowach i ramionach.

Dom był skromnie oświetlony, czyli innemi słowami brunatne ściany i ciemne meble, z których dym spędził wszelki połysk i politurę, sprawiały, że wnętrze ciemnem się wydawało. Prawie każden pokój i wszystkie balkony, zapełnione były ostrym dymem cygaret. Jasno brunatne plamy ukazywały się na rękawach koszul mężczyzn, żółte pasy na czystych mniej więcej sukniach kobiet. Wielki i wskazujący palec każdego mieszkańca męzkiego i żeńskiego rodzaju, wskutek ciągłego trzymania lub zwijania cygaret, był na żółto zafarbowany. Zapach spalonego papieru i tytoniu, z którym od czasu do czasu mięszała się woń pieprzu i czosnku, przenikał cały dom.

Dwóch czy trzech próżnujących mężczyzn powitało Ramireza ze wszystkiemi oznakami zażyłości. Jedna z kobiet, najotylsza, ukazała się we drzwiach, jedną ręką poprawiając szal na sobie, jak gdyby chciała ukryć nieład ubrania swego biustu; drugą skinęła igrając czarnym wachlarzem na młodego człowieka i zatytułowała go niewdzięcznikiem, zdrajcą i Judaszem, z wielkiem ożywieniem i łatwością wysłowienia. Potem z kokieterją obróciła się ku niemu całą twarzą, mówiąc:

— A skądże to teraz, po tak długim czasie, ty mały swawolniku?

— Interesa, moje serce i moja duszo, odrzekł Ramirez z pewną pospieszną urzędową grzecznością. Kto tam jest na górze?

— Są ci co składają świadectwa.

— A don Pedro?

— I on tam jest, a także senor Perkins.

— Dobrze. Wkrótce więcej z tobą pomówię. Skinął głową uniewinniając się i szybko pobiegł po schodach.

Na pierwszym ich zawrocie zatrzymał się z wahaniem, stanął przy najbliższych drzwiach i lekko zapukał. Nie było żadnej odpowiedzi. Zapukał drugi raz mocniej i z większą stanowczością. Nastąpiło szybkie skrzypienie zamku, otwarcie nagłe drzwi i pojawienie się mężczyzny w podartym surducie i łatanych spodniach, który powitał Ramireza w angielskim języku słowami: „Do wszystkich piorunów! to drzwi następne!“ potem zamknął mu swoje drzwi przed nosem.

Ramirez poszedł pospiesznie ku drzwiom wskazanym sobie przez gniewnego nieznajomego i powitany został obłokiem dymu i uprzejmemi głosami.

Dokoła długiego stołu, zawalonego dziwnie wyglądającemi dokumentami sądowemi, mapami i pargaminami, siedziało pół tuzina mężczyzn. Większa ich część przekroczyła już po za wiek średni, miała mocno ogorzałe twarze i kędzierzawe włosy. Jeden, którego pryszczowata twarz wyglądała jak kora sosnowa, był mocno pochylony wiekiem.

— Od przedwczoraj ma on sto dwa lata. Jest głównym świadkiem, co do podpisu Micheltorweny w prawie udziałów Castro, objaśnił do Pedro.

— Czy zdolny jest przypomnieć sobie? zapytał Ramirez.

— Kto wie! odrzekł don Pedro, ruszając ramionami, — przysięgnie i na tem dość.

— Jakież to zwierze mamy w sąsiedniej izbie? zapytał Ramirez. Wilk to, czy niedźwiedź?

— To jest senor Perkins, odrzekł don Pedro.

— Co to za jeden?

— Tłumacz.

Teraz opowiedział Ramirez z pospiechem, jak omylił się co do drzwi i jak po grubiańsku przyjęty został przez nieznajomego. Towarzystwo słuchało z uwagą, a nawet z uszanowaniem. Amerykańscy słuchacze głośno zaśmialiby się; ale obecne towarzystwo nie zmieniło poważnego swego nastroju. Wykroczenie przeciw grzeczności, wobec nieznajomego, nawet dla tych wątpliwych charakterów było rzeczą wielkiej wagi. Don Pedro oświadczył:

— O! możnaby sądzić, iż Bóg najwyższy zesłał go tu. (Potarł sobie czoło wskazującym palcem). Nie jest on w rodzaju swego kraju. Jest punktualny, milczący, wprawny. Gdy zegar bije trzecią godzinę on już jest tu; gdy bije dziewiątą — wychodzi. Sześć godzin pracuje w tamtym pokoju. O! mnóstwo roboty!... zdumiewająco wiele! foljały, tomy! dobrze!... odrobią się! Punktualnie o dziewiątej wieczorem bierze

papier pozostawiony przez jego padrone na pulpicie, w którym znajduje się zawiniętych dziesięć dolarów i oddala się na resztę dnia. Mówią, że pięć dolarów pozostaje na stole gry, ale nigdy więcej! Dalsze pięć dolarów idzie na utrzymanie życia — zawsze równo. Zawsze! zawsze! Jest uczony... gruntownie, zdumiewająco. Włada doskonale językiem francuskim i hiszpańskim. Dla prawników wart tyle złota ile zaważy. Pojmujesz pan!... ale pan nie będziesz mógł zużytkować go! powie on panu: ja tłumaczę, kłamstwo czy co innego, kto to wie? Bynajmniej nie dbam o to— ale więcej nic nie robię. To zdumiewający człowiek!

Napomknienie o stole do gry ożywiło w Ramirezie wspomnienie i przywiodło na pamięć cel jego obecnego przybycia.

— Powiedziałeś mi, don Pedro, rzekł stłumiając poufnie swój głos, o ile zeznania świadków w przedmiocie dawnych koncesyj gubernatorów i alkadów przychylnie są podane. Dobrze! Czy tak jest?

Don Pedro spojrzał po pokoju, i odrzekł:

— Z tych, którzy dziś wieczorem są tu, pięciu przysięga tak jak ich poinformowałem. Pojmujesz pan... jest w ich liczbie jeden gubernator, jeden wojskowy sekretarz, jeden alkad, jeden komendant i — Boże odpuść — jeden arcybiskup. Wszystko to zacni *caballeros;* ale okradzeni przez *Americanos;* pojmujesz pan! Co to szkodzi? Dostali lekcję. Wspomnienia ich będą drożej opłacone. Eh! sprzedają je oni tym, którzy najlepiej ocenić umieją. Wierz mi, Wiktorze, że tak jest!

— Dobrze! odpowiedział Wiktor. Posłuchajno! Przypuśćmy, że był człowiek... bandyta — djabeł — Amerykanin, który wymógł na *pico* ustąpienie gruntu. Rozumiesz, ustępstwo należyte, legalne i zaprotokołowane... uznane przez komisję krajową... i gdyby ktoś — no — może ja sam — powiedział ci: wszystko to jest fałsz mój przyjacielu, mój bracie!... eh!

— O *pico?* zapytał do Pedro.

— Si, *pico*... odrzekł Wiktor... przyzwolenie.

Don Pedro wstał, otworzył stojące w rogu biurko i wyjął ztamtąd kilka źle nadrukowanych pożółkłych formularzy z pieczęcią w prawym rogu.

— Formularz urzędu celniczego z Monterly, powiedział, niezapełniony, z podpisem gubernatora i z numerem. Zmiarkuj no to Wiktorze, mój przyjacielu. Drugie przyzwolenie tak samo.

Oczy Wiktora zabłysły.

— Ależ dwa na jednę i tę samą część gruntu, mój bracie! powiedział.

Don Pedro ruszył ramionami i skręcił sobie nową cygaretę.

— Istnieje prawie na wszystko, powiedział, po dwa przyzwolenia zmarłej ekscellencji. Czy jesteś pewny, mój przyjacielu, że i trzy nie istnieją? Czyż jest jedna tylko święta Bożarodzicielka?... to nic nie znaczy; zapewne, grunt wówczas nie miał żadnej wartości. Gdzie leży ta skromna posiadłość? Ile ma mil w obwodzie?... Chodź, powrócimy do tej izby nazad, tam będziesz pan mógł wynurzyć się swobodnie. Tam także jest doskonała wódka. Chodźmy Wiktorze, chodźmy!...

Don Pedro wstał, zaprowadził Wiktora do małej izdebki i zamknął drzwi.

Upłynęło około godziny. Dźwięk głosu zbyt namiętnego opowiadania Wiktora musiałby być usłyszany przez ludzi znajdujących się w wielkim pokoju, gdyby sami oni nie byli pogrążeni w atmosferę dymu, albo może przez grzeczność zachowywali się tak, jak gdyby obce sprawy bynajmniej ich nie obchodziły. Gawędzili, porównywali notaty i sprawdzali dokumenta prawne z rozbudzoną i zadowoloną ciekawością ludzi, których czynność i możebne jej rezultaty są czemsiś nowem.

Na kilka minut przed dziewiątą, don Pedro znowu ukazał się z Wiktorem. Przykro mi, iż muszę wyznać, że albo wskutek oddziałania porannego wzruszenia, lub też czynnego współczucia swego przyjaciela, lub też wskutek łagodzącego i uśmierzającego smutek trunku, mówił on bez związku, z wielu zboczeniami i ogromną obfitością słowa.

Oddziaływanie nadmiernego użycia napojów na umysły namiętne, podobne umysłowi Wiktora, jest albo hałaśliwe albo łagodne. W Ramirezie łączyły się oba efekta. Ze łzami w oczach zażądał on by go do dam zaprowadzono. U Manueli, owej otyłej damy, spodziewał się znaleźć współczucie, którego tak pragnęła jego pokrzywdzona, zapoznana i udzielająca się natura.

Na schodach dopędził nieznajomego, który punktualny, szedł z godnością i starannie ubrany. Senor Perkins był zupełnie inną osobą i wyglądał wcale nie tak jak ten, którego widział niedawno. Wyzwolił się on z niewoli i zapewne był w drodze do stołu gry, swej zwykłej wieczornej rozrywki.

W rozpłomienionym swym stanie miłoby było Wiktorowi wymienić z nim swe poglądy o niewierności rodzaju niewieściego i nieszczęściach wynikających ze szczerego poświęcenia. Ale don Pedro szedł z nim na dół do *parlor,* więc znikli z przed zimnych pogardliwie spoglądających oczu senora Perkinsa. Przyszedłszy do parlor, Ramirez spotkał Manuelę, zawsze starannie w szal otuloną, jak gdyby ciągle wątpiła o dokładności górnej swej toalety; pochylił się na krzesło obite czarną wełnianą materją i wybełkotawszy kilka słów o niezdolności niewieściego rodzaju do pojmowania tak namiętnej i dzikiej natury jak jego — pokonany został nieprzepartym pociągiem do snu.

— Musimy urządzić mu tu łóżko, rzekła litościwa i praktyczna Manuela; w takim stanie nie można biednego słabego chłopca puszczać do hotelu. O! przenajświętsza Panno! co to jest?

Gdy go podnoszono z krzesła, z kieszeni wypadł mu jakiś przedmiot, który Manuela podniosła. Był to wielki nóż, który Ramirez kupił rano.

— A! zawołała Manuela, szalony mały bandyta! był między Amerykanami! Popatrz no, wuju.

Don Pedro wziął nóż z zimną krwią z ręki Manueli i obejrzał go.

— Nóż jest nowy, powiedział, lekko ruszywszy ramionami. Polor jeszcze jest na klindze. Zanieśmy go do łóżka.

ROZDZIAŁ XVII.

Urocza pani Sepulvida.

Jeżeli jest na świecie miejsce, któremuby nadawała odpowiedni i z naturą zgodny wyraz wiecznie martwa jednostojność pór roku w Kalifornii, to jest nim stare szanowne pueblo i rezydencja misji Śgo Antoniego. Wiecznie jednakowe, bezobłoczne, bez wyrazu letnie niebo, jedyna ciekawość jaką miejscowość ta poszczycić się może— jest jakby symbolem arystokratyczno-konserwatywnego wszelkim nowościom nieprzychylnego usposobienia.

Zaprowadzeniu powozu pocztowego i dyliżansu, energicznie sprzeciwiała się panująca w San Antonio opinja publiczna; człowiek obcy, we własnym swoim powozie przybywający do *pueblo,* jeszcze niedługo przedtem nim wjechał w jedynę krótką po obu stronach murami odgraniczoną ulicę i dostał się na plac publiczny, mógłby wyczytać na twarzy przechodniów, bezczynnie wałęsających się, że wielcy rancheros będący w posiadaniu okolicznych udziałów gruntowych, stanowczo odmówią mu odstąpienia swych praw. Ponieważ miasteczko nie posiadało ani hotelu, ani restauracji, więc przybyły obcy człowiek, w razie gdyby potrzebował objadu, lub noclegu, musiałby się odwołać do gościnności mieszkańców.

Gdy już w jakimkolwiek dziedzińcu, jednego z większych domów zdjął siodło ze swego konia i odpowiednio został powitany przez twarz mu obcą, ale przyjacielską, to oczom jego wszędzie przedstawiał się widok niezmienionej przeszłości. Słońce, tak samo jak w ostatnich stu latach, oświetlało i ogrzewało czerwone dachówki niskich dachów, wydających się jak gdyby pokryte były poprzecinanemi wzdłuż laskami cynamonu: — chude, podobne do wilków, psy wypadły z domu i szczekały na przybyłego, zupełnie tak jak ich ojcowie i matki przed dwudziestu laty szczekały na innego jakiego przybywającego cudzoziemca; pod werandą, przed długim niskim żłobem, stały rozmaite dzikie na pół ujeżdżone mustangi nowemi sznurami powiązane, a na ich srebrem wyłożonej uprzęży błyszczało słońce; — na biało pomalowane ściany patrzyły na niego tak obojętnie i nic nie mówiąc białe wieże budynku misyjnego, wznoszące się z pomiędzy starych, chorowitych, pogiętych i sękatych drzew oliwnych i gruszy; — dalej w niezmienionej postaci ukazywał się wązki kawałek białego brzegu, a po drugiej stronie jego niezmierne bezgraniczne morze, zawsze jednakie. Parowce, które zwolna sunęły w odległości, wydawały się jakby widziadła nie dające się ująć; od czasu jak w r. 1640 w piaskach tutejszych złożyła swe białe kości filipińska galeota, o ile ludzie zapamiętają, żaden statek nie zarzucał kotwicy w otwartej przystani o białych ścianach i ze zdemontowanemi brązowemi działami.

Ale pomimo to San Antonio było gwiazdą, na którą pożądliwie zwracali oczy Amerykanie. Jego rozległe, płaskie, urodzajne grunta, jego liczne stada bydła, podzwrotnikowa niemal pyszna jego roślinność, zdrowy klimat i cudownie leczące źródła wody mineralnej, wszystko to łączyło się, ażeby na chciwych spekulantów w San Francisco oddziaływać jednocześnie przyciągająco i drażniąco. Na szczęście dla San Antonio grunta jego znajdowały w ręku niewielu tylko bogatszych członków krajowej szlachty. Obszary „pod niedźwiedziem“, „pod błogosławionym rybakiem“, „pod świętą Trójcą“ obejmowały wszystkie do San Antonio należące grunta; tytuły posiadania ich zabezpieczone i uprzywilejowane zostały krajowym właścicielom za czasów pierwszego zajęcia przez Amerykanów, podczas gdy stosunkowo znaczne oddalenie od ludnych miast większych zabezpieczało ich od chciwości obcych.

Raz tylko jeden, pewnej amerykańskiej istocie udało się wejść w posiadanie i używalność tej kalifornijskiej Arkadji; była nią wdowa po don Jose Sepulvida. Przed ośmnastu miesiącami

zacny Sepulvida w ośmdziesiątym czwartym roku pożegnał się z tym światem, a urocza, młoda żona jego, Amerykanka, pozostała jedyną dziedziczką rozległych jego posiadłości. Należało oczekiwać i obawiać się, że donna Marja, ponętna i bardzo miłego towarzyskiego temperamentu, rękę swą, a z nią majątek, zaofiaruje jakiemu spekulacyjnemu Amerykanowi, a ten pod błahym pozorem „ulepszeń“ wciśnie się rewolucyjnie w staroświeckie konserwatywne życie; tego należało obawiać się i temu należało zapobiedz za pomocą modłów i postów.

Gdy donna Maria, po upływie wdowiego roku, powróciła z podróży do San Francisco, gdzie około miesiąca przebywała, a powróciła jak się zdawało wolną jeszcze i niczem nie związaną do San Antonio, miało być jak utrzymują, odśpiewane uroczyste *Te Deum* w miejscowym misyjnym kościele. Możność zapomnienia o swych obowiązkach ze strony wdowy była dla San Antonio punktem większej jeszcze wagi, jeżeli przypomniemy sobie, iż najobszerniejsza posiadłość w dolinie, „pod świętą Trójcą“, również znajdowała się w ręku członka tego szalbierskiego amerykańskiego ludu, a mianowicie w ręku, jak utrzymywano, naturalnej pół krwi córki zmarłego gubernatora, która jednak, na szczęście miasta San Antonio, zabezpieczona była dzięki religijno-kontenplacyjnemu życiu i klasztornemu odosobnieniu, od domniemanego losu wdowy. Że ironja opatrzności los i przyszłość miasta San Antonio, uczyniła zależnemi w tak wysokim stopniu od skłonności i lekkomyślności, a nawet fantazji istoty niewieściej zbyt łatwo wrażliwej, to plotkom (jeżeli pełne godności rozmowy mężczyzn i kobiet można tak nazwać) małego pueblo nadawało pewną ponurą barwę. Niemniej jednak osoby pobożne żyły w tej mocnej wierze, że w końcu cudowne wmięszanie się Świętego Antoniego samo miasto od Amerykanów i zguby ochroni, i z pewnością utrzymywano, że święty patron, który w umiejętności opierania się pewnym próbom okazał już dostatecznie wysokie swe uzdolnienie, bynajmniej nie będzie się namyślać i sam wystąpi osobiście, w razie gdy wdowa okaże jakie napady słabości lub cielesnych zachcianek. Ale nawet najpobożniejsi i najszczersi w wierze czuli, że serce im upada, gdy spoglądali ukradkiem na kacerskie okropności paryskich sukni i kapeluszów, na różami kwitnącą twarz pełną pewności siebie i niewinnego zadowolenia, wchodzącej do kościoła donny Marji. W cichej modlitwie podnosili oni oczy wtedy na obraz surowego patrona, drżąc z zwątpienia, czy ten i teraz wyjdzie zwycięzko.

Donna Marja otoczona była całym systemem szpiegostwa, o ile na to hiszpańska grzeczność przyzwalała. Niektórzy, ze ściśle konserwatywnych mieszkańców głośno robili uwagi, że dla decorum tak młodej damy, jak wdowa Sepulvida, w której osobie ześrodkowuje się tak znaczna część społecznych interesów miasta, niezbędną jest duena, — chociaż z drugiej strony małżonkowie, którzy już przekonali się o niedostateczności takiego środka zabezpieczającego, stawili przeciw temu zarzuty. Gdy jednak pięknej wdowie spowiednik jej grzecznie napomknął o tem, ta ruszyła tylko ramionami uśmiechnęła się i rzekła: „Najlepszą dueną jest mąż, ojcze Filipie.“ Na tem urwała się rozmowa.

Być może, iż dobrze było, że gadatliwe towarzystwo w San Antonio, nie wiedziało jak groźne niebezpieczeństwo zawisło nad niem, jak strasznie zagrożone były interesa miasta 3 czerwca 1854 roku.

Był piękny pogodny poranek, tak jasny, że zdawało się, iż szczyty gór San Bruno podczas nocy przybliżyły się do San Antonio, — tak jasny, że linja odgraniczająca na horyzoncie niezmierzony Ocean Spokojny zdawała się rozciągać aż na drugą półkulę. Był to poranek zimny i surowy, jednak złagodzony pewnym odbłyskiem, poranek, podczas którego żywotna siła natury wzmaga się, i który chcąc należycie ocenić i zużytkować należy koniecznie użyć ruchu. Zaledwie zatem można było dziwić się, że donna Marja Sepulvida, po przyjęciu swego rządcy i major domo, zarzuciła cugle na bułaną swą klacz „Tita“ i w towarzystwie jednego tylko vaquero w bystrym galopie popędziła ku białemu wybrzeżu, ciągnącemu się od ogrodowych murów misji aż do odległego o kilka mil Point of Pines. Concho, zacny vaquero, nadaremnie przez pewien czas usiłował dotrzymywać pani swej kroku; w końcu ruszył ramionami i pojechał wolnym kłusem, tak że wkrótce znikł za piasczystemi wzgórzami. Upojona ożywczem powietrzem i ruchem, niezważając na nieład czarnych swych włosów, które uwolniła od krępujących je wstążek aksamitnego kapelusza, niezważając na to, że z pod fałdów powiewnej sukni wysunęła się jej drobna nóżka — dostała się donna Marja do Point of Pines odgradzającej półwysep.

Ale gdy przybliżyła się na odległość około stu sążni do cypla, który chciała objechać, z niemałem niezadowoleniem dostrzegła, że już nastąpił przypływ i toczące się fale drobnemi kroplami korzenie drzew obryzgiwały. Zakłopotanie jej zwiększyło się gdy zauważyła, że na przeciwległej stronie cypla jakiś pięknie ubrany jezdziec, również ściągnął cugle swego konia i z widoczną uwagą śledził jej ruchy, a nawet, jak się obawiała z przyjemnością wpatrywał się w nią. Zawrócić znaczyło tyle, co być gnaną przez nieznajomego, i wystawiać się na bezwstydne, chociaż zarazem najuniżeńsze spojrzenia. Jechać naprzód, znaczyło to, w najgorszym razie, narazić się na cokolwiek przemoknięcia, potem można było puścić się kłusem i zniknąć z oczu nieznajomemu, który pewno przez grzeczność nie pojedzie za nią. Wszystko to rozważyła donna Maria z właściwą płci swojej szybkością, i nie okazując w twarzy i ruchach żadnego wahania, wjechała w wodę.

Ale co to znaczy kobieca logika! Wywody pani Sepulvidy były trafne, lecz przypuszczenie fałszywe. Pierwszy skok „Tita“ wykonała śmiało, przy drugim zwierzę zastraszyło się, przy trzeciem klacz zanurzyła się po kolana, potem po uda i wpadła w ruchomy piasek.

— Puść pani konia wolno! Nie rób pani żadnych wysileń! Rzuć się pani na najbliższą falę i pozwól się jej unieść!

Donna Maria mechanicznie rozpuściła skręcony sznur włosienny zawieszony przy siodle. Potem spojrzała w kierunku, z którego głos dał się słyszeć. Ale ujrzała tylko konia bez jezdca, powoli wzdłuż cypla kłusującego.

— Prędko! tak!

Teraz głos ozwał się od morza; z przerażeniem dostrzegła, że ktoś pływa. Donna Marja dłużej nie wahała się. Jak tylko nadpłynęła druga fala, rzuciła się naprzód; fala poniosła ją kilka sążni i znowu złożyła na zdradzieckim piasku.

— Nie ruszaj się pani!

Powracająca fala odepchnęłaby ją znowu nazad, ale teraz donna Marja poczęła pojmować swe położenie i trzymała się za ruchomy piasek, dopóki znowu fala nie odpłynęła. Dalej piasek był już twardszy. Znowu fala poniosła ją kilka sążni dalej, gdy uczuła się pochwyconą za rękę. Czuła, że szybko porusza się po wodzie, że wyciągnięta jest na brzeg, że włosy jej rozpuściły się, że trzewiki zostały w piasku, że wybawcą jej był człowiek obcy, młody — i zemdlała.

Gdy znowu otworzyła czarne swe oczy, leżała na suchym piasku po drugiej stronie cypla, a młody człowiek stał daleko na brzegu, trzymając oba konie: swego własnego i Titę.

— Korzystałem ze sposobności, by konia pani na ląd wyciągnąć. Uwolniony od ciężaru i unoszony przypływem, mógł on poplynąć, a Charley i ja dopomogliśmy mu. Jeżeli się nie mylę, to widzę przed sobą panią Sepulvida?

Donna Marja twierdząco skinęła głową.

— A przypuszczam, że człowiek tam stojący, to służący pani, który jej szuka.

I wskazał na mężczyznę, który zwolna jechał po wybrzeżu.

— Pozwól mi pani, mówił dalej, bym dopomógł jej wsiąść na konia. Człowiek ten nie potrzebuje wiedzieć — nikt nie powinien wiedzieć o jej wypadku.

Donna Marja, jeszcze zmięszana, pozwoliła na wszystko, pomimo że musiała pokazać nóżkę swą bez trzewika, i dać wsadzić się na konia. Potem przypomniała sobie, że wybawcy swemu nie podziękowała jeszcze, i z takiem zakłopotaniem zabierała się do tego, iż uśmiech nieznajomego, który jej kłopot przerwał, był dla niej istnym ratunkiem.

— Najlepiej mi pani podziękujesz, rzekł on, gdy puścisz się cwałem po tych piasczystych wzgórzach i przeziębienia unikniesz. Zresztą widzisz pani przed sobą Poinsetta, jednego z prawnych doradców zmarłego jej małżonka, przebywającego w tych stronach w pewnej sprawie sądowej, która prawdopodobnie będzie dla pani przyjemniejszą aniżeli to co się obecnie stało. Żegnam panią.

Już wsiadł na konia i zdjął kapelusz. Donna Marja nie była kobietą szczególnie dalekowidzącą, ale zawsze dość rozsądną, ażeby poznać, że taki pośpiech oznaczał albo wstręt do kobiet, albo nieokrzesanie. W każdym razie zachowaniu się temu należało położyć pewne granice.

Jak to zrobiła? O! zrobiła tak, jak przy obecnych okolicznościach wydało się jej najwłaściwszem. Nadąsała się, co z żalem wyznać muszę, a potem rzekła:

— To jest całkiem pańska wina.

— Jakto?

— Gdybyś pan nie stał tam, wpatrując się we mnie i krytykując, tobym tej przeprawy nie próbowała.

To rzekłszy, popędziła jak strzała, podczas gdy wybawca jej pozostał w miejscu, kłaniając się i uśmiechając.

Koniec tomu pierwszego.

Piśmiennictwo polskie.

(*„Lubonie“ powieść z X wieku J. I. Kraszewskiego 2 tomy. Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.*)

(*Dokończenie.*)

Odtąd dzieje narodu plączą się ustawicznie z historją Własta. Po powrocie z wycieczki do

Czech do kraju, Właśt rozpoczął bardziej otwarcie niż wprzódy swoje apostolskie posłannictwo, dzieląc swój czas między dwór książęcy i domową zagrodę. Najpierwszem jego życzeniem było nawrócić własną rodzinę: siostra łatwoby się nakłoniła, albowiem religja miłości najprędzej przemawia do dusz kobiecych, ale stara babka i surowy ojciec zanadto byli przywiązani do religji i idących z nią w parze obyczajów przodków, ażeby się mogli nawrócić. Właśt widział te trudności, nie tracił jednak nadziei. Ojciec spozierał nań ciągle ponurem okiem, przeczuwając w nim Chrześcijanina, drżał na samą myśl, że syn jego może jest zwolennikiem wiary niemieckiej, a obawiał się przekonać o prawdzie; Chrześcijanin bowiem w jego oczach znaczył tyle. co nieprzyjaciel ojczyzny. Naprężone te stosunki długo trwać nie mogły i musiały wreszcie doprowadzić do wybuchu. Stary Luboń postanowił syna ożenić; to doprowadziło do katastrofy. Właśt jako kapłan ślubował bezżeństwo, nie mógł więc bez złamania przysięgi pojąć żony, wymawiał się, zwlekał, ale gdy ojciec coraz natarczywiej nalegać począł, nie było innej rady jak chwycić się ostatecznego środka tj. wyznać ojcu całą prawdę. Luboń usłyszawszy, że Właśt jest Chrześcijaninem, wpadł w wściekłość graniczącą z szaleństwem, w czem mu stara Dobrogniewa pomagała. Jedynego miał syna i tego utracił! Z tą myślą nie mógł się pogodzić, postanowił więc użyć wszelkich represyjnych środków, aby go do odstąpienia wiary przymusić. Biedny Właśt został męczennikiem. Wtrącono go do wilgotnej jamy, której otwór zawalono głazem kamiennym, pozostawiono tylko mały otwór, aby nim można wpuszczać pożywienie. Właśt znosił wszys ko pokornie, męczarnie dodawały mu odwagi, siły fizyczne go opuszczały, ale za to w tym samym stosunku moralnie wzrastał w olbrzyma, ciągle klęczał i modlił się dziękując Bogu, że może cierpieć dla jego chwały. Luboń był zawzięty, często przychodził ukradkiem spojrzeć w loch, a widząc syna klęczącego, wracał gniewny napowrót. Silna wiara syna wydawała się poganinowi karygodnym uporem, biernym buntem przeciw patrjarchalnej władzy ojcowskiej. Jednak odwaga, z jaką Właśt znosił cierpienia, nie pozostała bez wpływu na czeladź i familję Lubonia. Wszyscy się dziwili, zkąd ów słaby, chorowity młodzieniec mógł nabrać tyle sił do znoszenia męczarni, zkąd w tem słabem ciele wzięło się tyle żelaznej woli, jakiej najtężsi wojownicy nie posiadali. Zdziwienie zamieniło się wkrótce w cześć i uszanowanie dla osoby męczennika i dla jego wiary, która jest tak silną, że z wątłych młodzieńców czyni olbrzymy. Tymczasem Właśt coraz bardziej fizycznie na siłach opadał i byłby skonał, gdyby go nie był uratował jeden z domowników Lubonia, wyniósłszy go z jamy i zawiózłszy w bezpieczne miejsce. Smutek po ucieczce Właśta rozsiedlił się w dworcu Lubonia i nie opuszczał już swego siedliska. Na zapytanie, co się z Właśtem dzieje, odpowiadał stary, że go ożenił i w odległym futorze z młodą żoną osadził. W tem nastąpiła krwawa katastrofa w rodzinie Luboniów, dworzec jego został przez złych ludzi napadnięty, a on sam śmiertelnie ranny. Gdy wiadomość o tem doszła na zamek książęcy w Poznaniu, Właśt, który tam obecnie przebywał, pospieszył co prędzej, aby zamknąć oczy umierającemu ojcu. Stary został przed śmiercią pobity w swych przekonaniach tą miłością synowską — ujrzał dowodnie, że wiara Chrześcijańska streszcza się w jednem słowie: miłość — i dał się ochrzcić synowi. Teraz Właśt zostawszy panem majątku, zaczął urządzać dom swój w sposób chrześcijański, w środku dworca zbudował sobie w osobnej izbie ołtarz i przed nim odprawiał świętą ofiarę. Siostrę wydał za mąż i oboje nowożeńców nawrócił.

Mieszko po powrocie z Czech do kraju nie zmienił ani na włos swego dawniejszego postępowania. Był on już zdecydowany przyjąć religję wkrótce przybyć mającej żony, uważał jednak za konieczne jeszcze przez czas jakiś nie drażnić dotychczasowych przekonań religijnych Polan. Z Chrześcijaninami wchodził w coraz ściślejsze stosunki, otaczał się nimi, ściągał wojska, umacniał swoją popularność między zamożniejszymi, a tymczasem oczekiwał przybycia Dubrówki. Pierwszym krokiem ku nawróceniu było, że oddalił od siebie wszystkie nieprawe swe żony. Nie było to przyjemnem dla nawykłego do rozpustnego życia poganina, ale musiał to uczynić, Dubrówka bowiem postawiła to za główny warunek małżeńskiego związku. Skoro Dubrówka przybyła, natychmiast swoją umysłową wyższością pozyskała sobie nie tylko miłość króla, ale i sympatję podwładnych. Polanom przyzwyczajonym dotychczas widzieć w kobietach tylko niewolne narzędzia swych namiętności, podobała się ta rozumna pani, umiejąca cenić swą godność i podług zasad Chrześcijańskich uważająca się za równą mężczyznom. Świetne było wesele i trwało podług starosłowiańskiego obyczaju przeszło tydzień. Mieszko był zadowolony jak nigdy, spochmurniał jednak w kilka dni widząc, że posiada właściwą żonę tylko z imienia; Dubrówka oświadczyła mu wyraźnie, że dopóty żoną jego nie zostanie, dopóki w chrześcijański sposób połączeni nie zostaną. Mieszko był oddawna przygotowany do przyjęcia religji chrześcijańskiej, byłby jednak rad zwlekał, bo człowiek nie tak łatwo z tem się rozstaje, do czego przez całe życie przywyknął — ale cóż było robić — miłość ku Dubrówce kazała mu jak najrychlej myśl swoją w czyn zamienić. Dubrówka przywiozła ze sobą z Czech kilku kapłanów chrześcijańskich, a między nimi zacnego, surowego mnicha Jordana. On ochrzcił tajemnie Mieszka i połączył ślubem książęcą parę. Od tej chwili rozprzestrzenienie chrześcijaństwa w Polsce zaczęło bardzo szybko postępować. Zwalono wszystkie kontyny, a lud w osłupieniu przypatrywał się, jak Bogowie jego wszystko to znoszą nie broniąc się piorunami przeciw świętokradztwu. Ci z Polan, którzy już dawniej zostali Chrześcijaninami, wystąpili otwarcie nawracając swych współziemian do Chrystusowej religji. Ubogi lud najdłużej trzymający się tradycji pozostał wprawdzie przy swych starych bogach, musiał się jednak ukrywać z nimi po borach i niedostępnych uroczyskach. Walka starej religji z nową toczyła się wprawdzie długo, ale bez namiętności z jednej i drugiej strony. Wprawdzie poganie nocami wywracali krzyże przydrożne, ale dźwigano je napowrót, pogańscy kapłani i znachory gdzieś się rozbiegli — religja Chrześcijańska jakkolwiek nie stała się ogólną, była już panującą. Czeski mnich Jordan został pierwszym biskupem polskim i zajął tron w Poznaniu. Właśt, pierwszy apostoł polski z rodu, pracował do końca życia w pańskiej winnicy, nie przyjmując żadnych godności. To też kroniki nasze nie wspominają o tym świętym męczenniku i wyznawcy.— Oto w głównych zarysach treść drugiej z rzędu historycznej powieści Kraszewskiego „Lubonie.“ Jak widzimy autor bardzo zręcznie wmięszał w treść ściśle historyczną dzieje jednej rodziny. To cośmy powiedzieli o pierwszej powieści historycznej Kraszewskiego, to samo prawie dosłownie możemy powtórzyć i o drugiej. Autor posiada znakomicie rozwiniętą intuicję historyczną: tak jak Cuvier z jednej kostki odtwarzał w rysunku całe zwierzę przedpotopowe, tak on z małych kronikarskich wzmianek kreśli nam obraz pełen prawdy i w drobnych nawet szczegółach zupełnie wykończony. Ciakawą jest rzeczą, że „Lubonie“ nie mają prawie zupełnie intrygi miłośnej, a mimo to ludzie rozmaitej płci, stanów i wieku mogą powieść czytać z największem zajęciem. Pod względem prawdy historycznej jedno tylko mielibyśmy p. K. do zarzucenia, a mianowicie to, że tak wielką wagę położył na celibat Właśta, w czasach, gdy jeszcze w całej Europie żaden kapłan tej kwestji nie brał na serjo.

Bolesław Czerwieński.

NINA.

Obrazek z życia

przez

ZOFJĘ R.

Wieś Górki należała do pana Jakóba M. Mieszkał on w dużym gustownym domu, ze swoją rodziną, która składała się z młodej i pięknej żony, pięcioletniej córeczki i wreszcie ciotecznej siostry samej pani, panny Antoniny, przez skrócenie nazywanej Niną. Pan Jakób dobiegał już lat czterdziestu; był to dobry, zwykły człowiek, niczem od pospolitego ogółu nie wyróżniający się; gospodarował dobrze — względem mieszkańców wioski swojej zachowywał się neutralnie, w niczem ich nie krzywdził, nie uciskał, ale też i z ustaniem pańszczyzny, nie poczuwał się już do żadnych względem nich obowiązków. Sąsiad dobry, póki kieszeń lub uczynność jego, nie była narażona na próbę. Kiedyś uczył się podobnoś czegoś, ale szkół nie skończył. Prócz gazet nie czytywał nic, poezje chociażby najpiękniejsze, miały w sobie dla niego coś narkotycznego. Poważnych i naukowych dzieł nie miał czasu czytać, powieści uważał za zabójstwo chwil drogich, o podróżach wyrażał się, iż mu nic z tego nie przyjdzie, że to ktoś tam coś widział. Ale pomimo tego, w towarzystwie nigdy nie powiedział nic takiego, co by wydało ten zupełny brak czytania. Jak nigdy nie zrobił nic takiego, co by mu można było zarzucić jako postępek nie uczciwy, a nawet naganny, tak też i dusza jego nigdy nie była poruszona myślą, uczuciem szlachetniejszem. Zasłużył też sobie na tę utartą nazwę: „Pan Jakób to dobry człowiek,“ co oznacza, iż nie zrobił nic wybitnie złego, ale też i nikt pretensji nie miał, aby mógł co dobrego zrobić.

Stosunek względem żony był ten sam. Nie można mu było zarzucić, iż był złym mężem, gdyż jej nie tyranizował, w prowadzeniu dziecka zostawiał jej wolę własną, pokątnych stosunków nie miał żadnych, zazdrością jej nie trapił, na potrzeby domowe, stękając na ciężkie czasy, w końcu dostarczył zawsze, sług dostateczną liczbę utrzymywał. A przecież czyż był dobrym mężem? Pani Jakóbowa nigdy nie skarżyła się przed nikim, ani przed rodzicami, ani przed naj-

serdeczniejszą przyjaciółką i siostrą swoją panną Niną. O obcych mowy być nie mogło. Wszyscy też wskazywali sobie to stadło, jako bardzo szczęśliwe.

Pani Jakóbowa, piękna dwudziesto ośmioletnia kobieta, słuszna blondynka, o niebieskiem, marzącem trochę oku, była obrazem spokoju i cichej głębi. Wiele kobiet w jej położeniu i z jej usposobieniem duchowo wyższem, byłoby się czuło z „dobrym panem Jakóbem“ bardzo nieszczęśliwemi, ona nie; nieszczęśliwą nazwać się nie mogła. Między rokiem siedmnastym a dwudziestym kochała się w młodym chłopcu, o bardzo nie wiele starszym od siebie; z początku rodzice nie zwracali uwagi na stosunek dwojga młodych, chłopak był jak by do rodziny należący, kolega i przyjaciel jej brata, przebywał w domu rodziców Mili (Emilja było na imię pani Jakóbowej) święta i wakacje niemal wszystkie, gdyż był sierotą i domu swego nie miał. Zostawał pod opieką wuja, starego kawalera, który rad bardzo pozbycia się pupila choćby chwilowo, nie miał nic przeciw temu, by tenże przepędzał wolny czas od nauk, w domu kolegi. Chłopak był sympatyczny, miły i rozumny, uczył się doskonale, zawsze z chlubnemi świadectwami przybywał do Dąbrówki, rozkoszując się naprzód serdecznem przyjęciem, i uroczemi chwilami, jakich dozna, naprzemian spędzając je to w towarzystwie Mili, to ze strzelbą na ramieniu z ukochanym towarzyszem w lasach i na łąkach kwiecistych! Lubiony był od wszystkich, za wzór stawiany innym młodzieńcom tego wieku, a przytem dziwnie urodziwy! Siedmnastoletnia Mila pokochała go całą duszą, chłopak czyż mógł być obojętnym? Nie było zwierzeń, nie było schadzek, nawet uścisków rąk nie było, a przecież wiedzieli oboje, że się kochają.

Była to sielanka, sielanka pełna poezji i czarów, tak się też skończyła, jak wszystkie sielanki tego rodzaju. On, ubogi chłopiec, musiał kończyć szkoły, i długo potem dobijać się lichego kawałka chleba. Ona, aby zrobić miejsce trzem młodszym dorastającym siostrzyczkom, zamąż wyjść musiała. Dąbrówka nie wielka wioska, dzieci było kilkoro, z postanowieniem jednej córki, schodził rodzicom wielki ciężar z głowy. Jednak powiedzieć i napisać to łatwo, ale do przeżycia ta chwila ciężką była!

Trzy lata upłynęły im jak barwna wstęga, na której nanizane wakacje i święta jaśniały blaskiem drogich pereł. Ona miała już lat dziewiętnaście. On dwadzieścia trzy, i kończył w następnym roku uniwersytet. Wiedział, że to już ostatnie wakacje w Dąbrówce, myśl ta ściskała mu serce niewymownym żalem; jednak nie była mu nieodstępną. Był młodym, a któryż młody, póki nie uderzy się o zimną rzeczywistość, uwierzy w nią! Obecną chwilą był szczęśliwy, szczęśliwszy może niż kiedy, a uczyniła go nim — jedna łza zawisła na ciemnej rzęsie, na wzmiankę właśnie o ostatnich wakacjach. W najbliższej zaś przyszłości stał jeszcze szereg świąt rocznych, które przepędzał zawsze w Dąbrówce. Biedak! nie wiedział, że nad szczęściem jego zawieszony już miecz Damoklesa, w postaci zjawić się mającego konkurenta do panny Emilji. Za drugą bytnością tego, który miał jego szczęście zburzyć, Olcio (Aleksander) przeczuł go, zadrżał i uczuł krew ścinającą się w żyłach. Spotkał ukochaną Milę sam na sam, i patrząc na nią z dziwnym wyrazem wymówki, niby na winną, powiedział:

— To konkurent do ręki pani!

— Czy pan to mówisz aby mi przykrość zrobić?

On już cichszym głosem bronił się.

— Dla mnie to nie przykrość, ale boleść, rozpacz!

— Ja nie pójdę za niego, daję panu słowo.

I wyciągnęła rączkę do drżącego od wzruszenia chłopaka.

Pochwycił podaną, tulił w gorących dłoniach i do ust przyciskał.

W rękę całował ją tylko na pożegnanie, wyjeżdżając z Dąbrówki; zwyczaj ten zaprowadził przez figle i żarty, na poły dziecinne jeszcze, brat jej, i dotąd się on utrzymywał. Teraz po raz pierwszy bez świadków, całował tę ukochaną rączkę, a zmożony uczuciem miłości, żalu i zazdrości, nie mógł wypuścić tej rączki z rąk swoich, po kilkakroć przyciskał ją do ust, do piersi, i przysięgał wieczną miłość! Biedne dzieci! Czy przeczuwali też, że to było także pożegnanie, ale pożegnanie na zawsze! Gdyby im kto był powiedział to w owej chwili, byliby z całem przekonaniem rzekli, że umrą wprzód!

Olcio gdy się udał dnia tego na spoczynek, nie tylko usnąć, ale położyć się nawet nie mógł. Przyjaciel jego spał snem sprawiedliwego — a on chodził niemal noc całą po niewielkim pokoiku wspólnej ich kwatery. Po wyznanej miłości, po wyrzeczonej przysiędze, przyszła mu myśl, której nie znał dotąd. I cóż dalej? Wprawdzie chwilowo odpowiadał na nią najszaleńszemi projektami, jednak rozum, który posiadał jasny i logiczny, podsuwał mu niezbędną potrzebę kończenia nauk, a potem, potem mozolną walką w dojściu do stanowiska początkowie tak lichego, że ani by mógł, ani chciał, ani by mu dali wprowadzić na nie żony z rodziny, z jakiej była jego Mila ukochana! Biedny chłopiec, męczył się takiemi myślami noc całą, i gdy słońce było już wysoko nad horyzontem, a towarzysz jego poruszał się jak przed obudzeniem, rzucił się na łóżko nierozebrany, nie tyle w myśli wypoczynku, jak aby uniknąć wesołej pogadanki ze swobodnym przyjacielem, któremu ani przez myśl nie przeszła serdeczna troska kolegi. Jeszcze dni kilka, kilkanaście istnego raju na ziemi, zachmurzonego na chwilę perjodycznem jak zimna febra zjawianiem się konkurenta. W końcu grom, który zbierał się w tych przeciągających chmurach, uderzył w ich szczęście. Konkurent oświadczył się o rękę Mili! Majętny, z pięknym stanowiskiem i imieniem, czyż można dziwić się rodzicom, że żądali od córki, aby go przyjęła? Wioska była nie wielka — dzieci kilkoro. Mila oparła się żądaniu rodziców, a naciśnięta wolą ich i rozkazem, wyznała, że kocha Olcia! Scena nastąpiła dramatyczna; rozpacz córki, zawiedzione nadzieje matki, gniew ojca, złożyły się na nią! Brat Mili ze swoim gościem, wyjechał był na dwa dni na polowanie, do wspólnego towarzysza uniwersyteckiego; Olcio wracał nad wyraz stęskniony i przeczuciem niespokojny. Dramat zastali rozwinięty — Mila leżała w gorączce! Powód jej choroby uderzył w serce rozkochanego chłopaka strasznym gromem.

Ojciec przywitał go chmurno i zimno, matka uprowadziła natychmiast w cieniste ulice ogrodu, dla rozmówienia się o tem „przykrem zajściu“ jak się wyraziła. Biedny Olcio! rozpaczał, płakał, bił głową o drzewo, na klęczkach błagał przynajmniej o pozwolenie ujrzenia jej. Matka zniosła to dość stoicznie, widzenia się z córką wręcz odmówiła. Odwołała się w końcu do honoru męzkiego, zapytując, czy mu pozwoli burzyć spokój rodzinny bałamuceniem panny, która nigdy żoną jego być nie może. „Mila posagu mieć nie będzie. Ty nie masz nic, a nim przyjdziesz drogą nauki i pracy do stanowiska jakiegoś, któreby w każdym razie nie było odpowiednie pannie przywykłej do życia dostatniego jak ona, to tyle lat upłynie, że oboje postarzejecie się. Spodziewam się, że sam uznasz za słuszne, i żądać nie będziesz, aby dla dziecinnego zajęcia się waszego, my, mając młodsze córki, nie wiem jak długo, gdyż czas nieobrachowany, najstarszą marynowali w domu. Żądam więc od ciebie jako od zacnego młodzieńca, abyś na czas jakiś przerwał stosunki z domem naszym. Jest to potrzebne dla spokoju mojej córki, a wierz mi i dla twojej przyszłości. Radzę ci po przyjacielsku, więcej powiem, po macierzyńsku, wybij sobie całkiem z głowy te szalone rozpacze, bo to nie doprowadzi do niczego.“

Miała zupełną słuszność powiedzieć, że radzi po macierzyńsku, wszakże taką samą radą przed kilkunastu godzinami udzieloną córce, sprowadziła jej gorączkę, trawiącą ją obecnie. Biedny! biedny Olcio! Z rozpaczą w sercu, z śmiertelną trwogą o Milę, wyjechał z Dąbrówki. Józio, brat jej, który kochał towarzysza swego całem sercem, widząc w jakim znajduje się stanie, nie mógł go puścić samego, odwiózł więc, i parę dni zabawił z nim. Powróciwszy nic nie mówił, ale widocznie miał żal do rodziców, ani jednem więc słówkiem nie wspomniał jak go zostawił, czy spokojniejszego czy w równej rozpaczy! Mila łóżka nie opuszczała.

I smutny koniec rajskiej sielanki!

Smutny a zwykły...

Mila powstała z choroby blada i zmieniona.

Konkurentowi, sprawcy zburzenia swego szczęścia odmówiła stanowczo. Rodziców to skwasiło. W rok zjawił się drugi pretendent do jej ręki, i tego odprawiła z niczem. Rodzice już jawnie robili jej wymówki, że młodszym a mniej urodziwym siostrom, będzie zagrodą do szczęścia, gdyż kto się w domu pokaże, do niej się zwraca, po to aby odszedł z koszykiem, a one stoją na boku zapomniane.

Olcio znikł jej zupełnie z oczu, przez brata wiedziała tylko, iż wuj wysłał go swoim kosztem na parę lat za granicę, dla ukończenia nauk! W ciągu następnego roku ojciec Mili umarł, a w parę miesięcy później, pan Jakób, jako nowy konkurent do ręki jej, zjawił się w domu.

Matka lękając się odprawy, jak poprzednich, nie robiła już wymówek, ale przez łzy, nie oschłe jeszcze po mężu, powiedziała drżącym od wzruszenia głosem:

— Gdybyś temu odmówiła, to pamiętaj że położysz mnie pod kamień w grób obok ojca!

Pan Jakób oświadczył się — Mila przyjęła go. (C. d. n.)

POGADANKI.

X.

Odkąd mamy wolność prasy, ludzie oddający się piśmiennictwu, nie krępowani więcej przepisami cenzury, chcąc u nas podnieść patrjotyzm i zachęcić ogół do coraz większego kształcenia się umysłowego, stawiają Galicji za wzór godny naśladowania mieszkańców Królestwa kongreso-

wego. Cokolwiek tam robią ma być wszystko doskonałe, co u nas, wszystko złe; tam ludność uczy się i pracuje, u nas od książki ucieka i próżnuje; tam nareszcie ogół nie uchyla się od żadnego czynu, przynoszącego korzyść narodowi, gdy natomiast w Galicji zabiegi około dobra powszechnego są właściwością zaledwie jednostek. We wszystkich tych twierdzeniach, którym zresztą nie brak pobudek najszlachetniejszych, jest nie mało przesady. Galicja nie jest ostatnią z dawnych dzielnic Polski, a Kongresówka nie jest znowu ideałem, którego osiągnięcie powinno być najgorętszem naszem marzeniem.

Nie przeczymy, że Kongresówka więcej jak Galicja czyta i pracuje, lecz czy zastanowiono się kiedy nad stosunkiem ludności jej do naszej? Wszak tam jest cztery razy tyle Polaków co u nas, a sama Warszawa, jako stolica dawnej Rzeczypospolitej, licząc do 300.000 mieszkańców, ma nierównie więcej inteligencji, jak cała Galicja. Czy wzięto kiedy w rachubę ekonomiczne stosunki państwa rossyjskiego, dzięki którym w Polsce kongresowej mogły się podnieść przemysł i handel, gdy natomiast u nas musiały one upaść, ponieważ rząd austrjacki przez lat 100 uważał Galicję za kraj, który przez prowincje niemieckie powinien być eksploatowanym? Czy zwrócono także uwagę na wychowanie młodzieży, które przez długie lata było u nas tendencyjnie austrjackie, tudzież na stosunki włościańskie? Kto się nad tem wszystkiem zastanowi, ten z pewnością przyzna wraz z nami, że jeżeli Galicja stoi niżej od Kongresówki, odpowiedzialność za to nie na niej sama ciężу, i że za kordonem nie jest znowu każda rzecz tak doskonałą, jakby się to niejednemu mogło wydawać. Przy sposobności poprzemy statystyką nasze twierdzenie, a dziś przytoczymy tylko jeden fakt, który udowadnia, że arystokracja tak nasza jak tamtejsza, jest zarówno obojętną na wszystko co podniosłe, i jedna drugiej wcale nie przewyższa.

Oto p. Siemiradzki, slawny twórca *Świeczników Nerona*, wystawił w Warszawie dwie z dawniejszych swoich kompozycyj, a ustanowiwszy cenę 150 rubli za jedną, oświadczył, że nabędzie je ten, kto da więcej chociażby o jednego rubla; pieniądze zaś uzyskane artysta przeznaczał na cel dobroczynny. Czy dałby kto wiarę, że nie znalazł się ani jeden nabywca, wskutek czego p. Siemiradzki musiał odstąpić od postawionego przez siebie warunku, i cenę 150 rubli ustanowił jako ostatnią? Ale mimo to kupiec jeszcze się nie znalazł, i dzienniki warszawskie napróżno przypominają magnatom polskim, że obowiązek nakazuje im nie dopuścić, by prace takiego artysty jak Siemiradzki przeszły w ręce obcokrajowców. Okazuje się z tego, że i u nas nie gorzej.

Lecz może kto powie, że lepszą jest arystokracja polska, mieszkająca w W. Ks. Poznańskiem. Na to odpowiemy przytoczeniem następującego faktu, który został umieszczony w numerze 295, czasopisma *N. W. Abendblatt*:

„W posiadaniu hrabiny Gr. pochodzącej ze starodawnej szlacheckiej zacnej rodziny polskiej, a mieszkającej w Gdańsku, zostawał do niedawna medaljon z całą loką Kościuszki, jakoteż własnoręczny list owego bohatera polskiego, pisany do księżnej Lubomirskiej. Majątek hrabiny Gr. która przeszła wraz z całą rodziną do obozu niemieckiego, upadał coraz bardziej i ostatecznie niedostatek wraz z wszelkiemi przykrościami swemi nawidził właścicielkę pamiętnego medaljonu, tak że brakło nawet na lekarstwa kiedy hrabina zachorowała; nie pozostało tedy nic innego, jak sprzedać medaljon. Udała się tedy do muzeum w Rapperswyl, z oświadczeniem chęci sprzedania obu relikwij za 100 talarów, na co odpowiedział hr. Plater, że bardzo byłby obowiązany, gdyby hrabina zrobiła darowiznę z tych relikwij. Doznawszy tu zawodu, zaproponowała hrabina Gr. kupna tych drogich nam pamiątek Radziwiłłom i Czartoryskim; pierwsi wymówili się brakiem pieniędzy, drudzy znacznemi wydatkami na jakieś budowle. I któż nabył te obie dla każdego Polaka tak święte relikwje, których ani muzeum „narodowe," ani tacy Radziwiłłowie i Czartoryscy nabyć nie chcieli czy nie mogli? oto zwykły śmiertelnik, kupiec gdański, Niemiec, właściciel wielkiej lutrowni i skrzętny zbieracz starożytnych pamiątek polskich, p. N.... Bez najmniejszego wahania się zapłacił hrabinie Gr. podwójną kwotę żądanych 100 talarów."

Czy w Galicji gorzej?

O potrzebie rozwoju przemysłu małego
czyli drobnego w Galicji

napisał

JAN NEP. Z OLEKSOWA GNIEWOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Rozpatrzmy się nietylko w Krakowie, Lwowie, ale nawet niemal w każdem powiatowem mieście, a znajdziemy w handlach wyroby snycerskie z Berchtesgaden, Tyrolu, Szwajcarji a nawet Francji. Czy jest możliwość rozwinięcia tego przemysłu w okolicach górskich? Mamy dotykalne świadectwo w szkółce przemysłowej w Rymanowie, założonej przez hr. Annę z Działyńskich Potocką dnia 29 listopada 1874 roku. Zdolność pastuszków od 12 do 16 lat okazała się tak wielką, że po kilku tygodniach nauki, wyroby snycerskie okazały się dobre na syrzedaży. Szkółka podnosi się pod każdym względem, a po kilku latach wyroby snycerskie uzyskają byt trwały i rozszerzą się na kilkunastu milach kwadratowych Beskidów.

Wystawa stanisławowska uwidoczniła olbrzymie postępy szkoły rymanowskiej idącej o lepsze z wyrobami sprowadzanemi z zagranicy. Fakt ten daje nam niezbity dowód, że jeżeli otwartą zostanie podobna szkoła w Tatrach i w kołomyjskiem pod Czarną górą, w kilku latach wyroby snycerskie zagraniczne nietylko nie znajdą przystępu do Galicji, ale przeciwnie, galicyjskie staną się wyrobem wywozowym.

Zmniejszona ilość zwierzyny, podział własności na coraz mniejsze parcele, nie dostarczają już huculowi dostatecznych środków do wyżywienia rodziny. Najżyźniejsze połoniny przeszły skutkiem rozmaitych przebiegów w ręce arendarzy; setkami możnaby przytoczyć przykładów, gdzie za 5 złr. pożyczonych huculowi, arendarz wywłaszczył go z całej posiadłości; nawet handel bryndzą, wełną i owcami przechodzi rok rocznie w ręce żydów, stając się ich monopolem. W obec takich stosunków hucuł prawie wywłaszczony, któremu już oprócz chaty na urwisku nic nie pozostało, skupia myśl i bierze się do przemysłu.

Znając tajniki niedostępnych górskich kniei, gdzie noga leśniczego latami nie postała, a gdzie rosną olbrzymie jawory, buki i cedry karpackie, gdy zima zawita, dwóch lub trzech huculów biorą z sobą w worki trochę mąki kukurydzanej, lub owsianej zmielonej na żarnach, kilka paczek bakunu, siekierę i dłuto, oraz parę nieznanej nazwy kawałków żelaza i tak zaopatrzeni budują w niedostępnej kniei kolibę czyli szatę. W środku rozpalone ognisko bucha płomieniem przez otwór w górze, jeden z towarzyszy spuszcza olbrzymie jawory i przecina na odpowiednie do wyrobu klocki; drugi obciesuje z grubego, a trzeci towarzysz to już majster warstatu: wbił dwa drewna pionowo w ziemię, horyzontalnie wydłubał dwa otwory na czopy, potem wyciosał i nasadził kółko, a u dołu umocował deptak; do wyrobów wymagających większej siły zastosował korbę; w czopach umieścił dwa kawałki żelaza i taki to warstat zastępuje mu wybornie tokarnię, na której wytacza miseczki i miski do 8 garncy objętości. W kilka miesięcy urosły stosy tych wyrobów i liczą się na kopy; dalejże wtenczas juczyć na konie, wyprowadzać w doliny, gdzie wszystko hurtem odkupują za bezcen arendarze i rozwożą po kraju, mianowicie na bezleśne Podole, zarabiając 200 – 300 na sto

W innem znów miejscu takim samym sposobem wyrabiają się nader ładne drobne wyroby bednarskie, przyozdobione zapomocą kawałka rozpalonego drutu wzorami, które po huculsku nazywają pisankami.

Znowu nabywamy przekonania, że obznajomiwszy mieszkańca gór z tokarstwem, przy dzisiejszych licznych zastosowaniach tego rzemiosła w użytku codziennym, zatrzymamy w kraju nietylko znaczny kapitał, ale nie potrzebowaliśmy się rumienić, że nawet takie wyroby, jakie podczas odczytu mego w Muzeum przemysłowem we Lwowie przedstawiłem, przychodzą w znacznych transportach do Galicji.

Naukę stolarstwa hucuł i w ogóle góral także z łatwością sobie przyswaja; nie mówię już, aby w tym dziale kształcić hucuła lub górala wyłącznie na stolarza, ale przedstawiając znowu żywe przykłady z zastoju naszego kraju, zwracam uwagę, że nawet zakłady nasze cukiernicze krakowskie i lwowskie, które przemysł swój prowadząc fabrycznie, stawiły czoło i stanowczo zagradzają drogę konkurencji zagranicznej, jak n. p. firmy Gros i Strus, Rotlender, Kostecki, Müler i innne we Lwowie i Krakowie; chociaż dają sposób do życia licznym współpracownikom, mimo to najprostszej roboty pudełka i skrzyneczki muszą sprowadzać nie tylko z poza granic Galicji, lecz nawet z takiej odległości jak Bawarja, Tyrol i Wiedeń. Komentarzy dalszych nad tem robić nie trzeba.

Niedosyć na tem; kupcy lwowscy do przesyłek towarów na prowincję, sprowadzają z Wiednia (!) paczki gotowe z cienkich deszczułek, zbitych gożdziami z bukowego, sosnowego lub jodłowego drzewa, i za taki to nawet artykuł wychodzi rocznie kilkanaście tysięcy złr. A przecież skrzynki te nie są robione maszynami ale na zwykłych warstatach ręcznych. We wszystkich większych miastach po za obrębem Galicji, znajdujemy specjalne składy wyrobów stolarskich, tak zwanych prostych, służących do użytku domowego w kuchniach, pralniach i t. p. jako to: szaf kuchennych, skrzyń do zapasów żywności, stolnic, drabinek, schodków pokojowych i t. p. Wyroby takie produkowane w górach i sprowadzone do miast zrównoważyłyby nadto wielkie wymagania monopolistów, którzy je przysyłają z Wiednia i Czech. Przy większym kapitale założona fabryka mebli z drzewa giętego w samych górach, dałaby również ludności trwały zarobek i bez wątpienia wyroby te stałyby się wywozowemi.

Karpaty nasze posiadają znaczne przestrzenie lasów, których zużytkowanie w dzisiejszem pojęcu jest prawie niemożebne, albowiem wywóz tramów, czyli kloców, nastręcza takie trudności i koszta, które bardzo często o kilka razy przewyższają wartość samego drzewa; tem samem zbyt tegoż zwykłą drogą handlową staje się niepodobieństwem. Kto zna, co to są wichry burze górskie, które w jednem mgnieniu oka zwalają tysiące drzew, ten łatwo obliczy, jakie straty właściciele ponoszą..I cóż się dzieje? Oto nietylko ponoszą stratę w powalonem drzewie, lecz nadto niemożliwość usunięcia i zapobieżenia zgniliźnie wyradza, że tak powiem, dżumę leśną, t. j. owad zwany zaskórnikiem, *Borkenkäfer*. Owad ten, od lat kilku mianowicie stał się straszną klęską dla lasów górskich i grozi im zagładą. Wszelkie usiłowania dotąd przedsięwzięte nie zapobiegły złemu i nie zapobiegają, dopokąd nie znajdziemy środka, aby z łamów tych skorzystał przemysł drzewny domowy.

I na ten wypadek znaleźć można wiele przedmiotów, które na miejscu wyrobione z grubego, bez trudności dadzą się potem transportować na równiny. Komuż nie są znane, nie mówiąc już o drutach na zapałki i storów do okien, różne plecionki z włókna drzewnego? Wprawdzie te stosunkowo nie zużytkowuja wielkiej masy drzewa, ale są wyroby inne, mianowicie z drzewa twardego, które na targach Francji, Anglji, Niemiec, Belgji są bardzo poszukiwane. Mam tu na myśli kleszczyny do chomont furmańskich koni; kleszczyny takie, dające się wywozić z łatwością na grzbietach końskich lub na ręcznych saneczkach, mogą być sprzedawane po kilkatysięcy par rocznie. Takich przykładów mógłbym wiele innych przytoczyć.

(C. d. n.)

Z wycieczki artystycznej

przez

F. K. Martynowskiego.

(*Ciąg dalszy.*)

Ale komuż nie znana ta żywa księga dziejów naszych? Toż dosyć wspomnieć Wawel, mogiły Wandy, Krakusa i Kościuszki, tyle wspaniałych kościołów i grobowców, albo malownicze Bielany i Tyniec odwieczny, a potok myśli i marzeń owładnie twoją istotę. Czujesz, że tu świat inny i życie inne. A gdyby się nie ocierali ludzie dzisiejsi o ciebie, tak byś się ukołysał marzeniami, upoił wielkiemi a pół sennemi obrazami przeszłości, żebyś łatwo utonął w błogich i zamglonych widziadłach, co w tysiącach kształtów spłynąwszy na ciebie, cisną się gwałtem do serca i duszy twojej. Więc dziejowe zdarzenia i potok przedziwnych tonów, co w krainie piękna wyrósłszy, uplastyczniły się w wiekowych budowlach Krakowa, wszystko to razem ozwie się długą i uroczystą pieśnią do uczuć twoich. Jeśliś zaś jeszcze nie dał się owładnąć prądem materjalistycznym czasów dzisiejszych, jeźli pierwszy raz witasz do krakusowego grodu, wszystkie te obrazy i tony tak potężnie przemówią do ciebie, że ich już nigdy w pamięci nie zatrzesz... Epopeja dziejów naszych zamilkła w czynie, ale spytaj krakowskich świątyń, mogił, domów i legend zastępów, a one wszystkie cuda ci powiedzą o mężach co legli na polu chwały, o czasach świetnych tej ziemi i sporym poczecie ludzi, co aureolą świetności zabłyśli w narodzie... Lecz nie nam malować wrażeń i obrazów, których pewno każdy z czytelników doznawał i niejednokrotnie rozczytywał się w nich z błogiem i rzewnem uczuciem; pójdźmy więc lepiej na Wawel i tam złóżmy pokłon głębokiej cześci dla tylu monarchów i wojowników naszych, którzy to miejsce wybrali na wieczny spoczynek po znojach i po trudach wielu.

Jesteśmy zatem w ognisku pamiątek narodowej chwały, a dziś wiara i piękno w jeden wielki wieniec się splotły, aby zaświadczyć uroczyście o kilkunastowiekowym bycie narodu. Przyznać potrzeba, że pierwiastki owe objawiły się tutaj potężnie, jakby same jedne chciały świadczyć prawdzie. Kędy bowiem okiem rzucisz, spostrzegasz coraz to nowe, a coraz to wyraźniejsze zjawisko; więc człowieka jakaś nieokreślona bojaźń owłada jakby z obawy przed ogromem onych. Boisz się, czy kreśleniem tych obrazów nie popełnisz świętokractwa, albo nie zdmuchniesz z nich tej uroczej woni, co się aureolą po nich rozpłynęła przez dlugie stulecia. Święty Stanisław, król Kazimierz, Jagiełło, Batory, Skarga, Kmita i tylu innych bohaterów przeszłości spogląda na ciebie z kamiennych sarkofagów, oni życiem swojem księgę dziejów pisali, więc naszemu pióru nie targać się na ich odmalowanie, tembardziej, że już tego dokonały poważniejsze pióra. Jeżeli jednak pragniesz ztamtąd wzniosłych i uroczystych wrażeń, udaj się do dzieł ks. biskupa Łętowskiego, gdzie w katedrze na Wawelu orzeźwisz swoje serce tak, jakbyś się w onym przybytku bożym osobiście znajdował. Z takiego również względu nie potrącamy o rozwój linji artystycznej, tak możnie uplastycznionej na Wawelu i w całym Krakowie: Kremer, S. Łepkowski, Łuszczkiewicz, Zabrawski, Essenocin i wielu innych badaczy, już dawno jej dzieje wyśpiewali.

A więc cóż nam pozostaje? Oto zajrzymy na chwilę do grobów królewskich, gabinetu archeologicznego i zbiorów Akademji umiejętności, aby tam zanotować kilka nowych zupełnie szczegółów.

Zwidzając tedy groby królewskie i lubując się w ich teraźniejszym stanie, należy uznać tutaj prawdziwie obywatelskie zasługi pp. J. Łepkowskiego, T. Zabrawskiego i J. Matejki. Mężowie to owi swoją nauką, pracą i staraniem odrestaurowali ten pośmiertny przybytek spoczynku monarchów i wodzów naszych, który doprowadzili do takiej powagi i elegancji, że mu w niczem nie ustąpić grobom cesarskim u Kapucynów w Wiedniu. Sami to cudzoziemcy nawet przyznali chętnie. Po tyloletniem przeto zaniedbaniu widzisz dzisiaj wawelskie katakumby urządzone z królewska, kędy majestat monarszy całym blaskiem zajaśniał z trumien i sarkofagów rozlicznych.

Niezawodnie większa część naszych czytelników zwidzała zeszłego roku i dawniej ów przybytek grobowy, zna więc doskonale trumny i sarkofagi tam złożone ze zwłokami monarchów, zbytecznem byłoby przeto rozpisywać się o nich na tem miejscu. Zwracamy jednak uwagę na dwie okoliczności. Oto restauracja grobów królewskich wymagała otwierania niektórych trumien, co uskuteczniany bywało wobec licznych świadków i umyślnej delegacji złożonej z świeckich i duchownych osób. Czynność ta właśnie dała możność przekonania się o niektórych insygniach monarszych kładzionych nieboszczykom do grobu. I tak np. Anna Jagiellonka pochowana jest w pięknej złocistej koronie nader wdzięcznego kroju dokonanego w stylu odrodzenia. Również i berło jej funeralne odznacza się wielce artystycznym rysunkiem, którego koronę z dębowych liści spleciono sposobem rozchylających się tulipanowych kielichów. Podobne insygnia znajdziesz przy pięknej metalowej trumnie rzeźbionej, co schowała w sobie zwłoki królowej Konstancji, córki Ferdynanda I, a żony Zygmunta III, którego wojenne czyny widzisz w trumiennej przepysznej rzeźbie wysnute. Więc przedewszystkiem w nich zajaśniała wojenna wrzawa z chwili zdobywania Smoleńska. A jakżeż tu pominąć lekuchną i misterną koronę, w której spoczęła Anna Austrjaczka? Patrz, oto dyjadem ów zakwitł w wawrzynowe liście, a ostrokątne promienie, co z pomiędzy nich wystrzeliły, zdają się wdziękiem swoim o chwale nieboszczki zaświadczać. W ogóle każda trumna mieści w sobie insygnia monarsze funeralne, w które królów i królowe nasze ubierano do grobu. Mieliśmy właśnie sposobność oglądania ich w bogatych tekach prof. Józefa Łepkowskiego, który przez kilkanaście lat zgromadził przepyszne materjały do monografji o grobach królewskich, tak że niebawem ma je dokonać i ogłosić w artystycznej edycji.

(Dok. nast.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Uzupełnienie słownika łacińsko-polskiego wyrazów lekarskich Prof. Dra Skobla i Dra Al. Kremera, razem z przekładem polskim wielu wyrazów lekarskich niemieckich, francuskich i angielskich i słowniczkiem wyrazów weterynarskich ułożone przez Prof. Dra S. Janikowskiego, Dra Al. Kremera i Prof. Dra J. Vettingera. Kraków — 1876.

Od dawna już czuć się dawała potrzeba uzupełnienia „Słownika łacińsko polskiego wyrazów lekarskich" wydanego w r. 1868 przez Prof. Dra Skobla i Dra Al. Kremera. Towarzystwo lekarskie krakowskie podjęło tę pracę i nie poprzestając na tłumaczeniu samych wyrazów ściśle lekarskich, wciągnęło do tego dopełnienia wiele innych wyrazów, których potrzeba często się nastręcza w przekładzie opisów lub spostrzeżeń lekarskich, opisów hygienicznych, orzeczeń sądowo-lekarskich itd.

— Wykład notarjatu dziejowy i porównawczy skreślił Adam Niemirowski. Część szczególna. Warszawa — 1876.

Ulepszenia w notarjacie w ostatnich czasach poczynione w całej Europie, zainteresowanie się tą częścią prawodawstwa przez wszystkie rządy, skłoniły autora do napisania kompendjum, w którem w sposób porównawczy zestawił w najogólniejszych rysach systematy notarjalne, obowiązujące w innych państwach Europy i przedstawił rozwój tej umiejętności u wszystkich ludów. Tym sposobem wypełnił lukę; żadna bowiem z umiejętności prawnych nie została w piśmiennictwie naszem tak mało uwzględnioną jak notarjat. Wprawdzie niestrudzony Bandtkie pozostawił studjum historyczne stanowiące ważny przyczynek do nauki notarjatu, jest to wszakże jedynie szkic nakreślony ręką mistrza, a prace archiwalne Heleta, Bobrzyńskiego i innych stanowią dopiero materjał do dzieła. Obszerne i prawie wyczerpujące to kompendjum zawiera str. XVI i 464 w formacie dużej oktawki.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Listy z kraju.

Lwów d. 1go Listopada r. 187a

Z prawdziwą przyjemnością postrzegłem w „Tygodniu" artykuł, poświęcony sprawie drobnego przemysłu w Galicji. Będąc dobrze obeznanym z historją tego, co dla podniesienia u nas drobnego przemysłu po dziś dzień uczyniono, podaję wam kilka szczegółów, rzucających dosyć światła na tę ważną kwestję.

Z końcem r. 1872 lub na samym początku r. 1873 był u ówczesnego prezydenta miasta Lwowa teraźniejszy profesor p. Zacharjewicz w jakimś interesie. Zgadało się o naszych rzemieślnikach, a podczas rozmowy pan Zacharjewicz wspomniał o pożyteczności Muzeum przemysłowego; co gdy trafiło do przekonania prezydenta, tenże zaraz po pierwszem posiedzeniu Rady miejskiej w gronie kilku radnych przemysłowców zaproponował p. Żaakowi, aby poruszył myśl założenia we Lwowie Muzeum przemysłowego między ko'egami przemysłowcami, czego tenże, pojąwszy wnet o co idzie, z największą podjął się gotowością.

W krótce potem prezydent miasta został ministrem, a gdy podczas zwidzania Muzeum pana Baranieckiego w Krakowie w maju dowiedział się, że znaczna część zbiorów pochodzi z wystawy paryskiej, powróciwszy do Wiednia gdzie właśnie rozpoczęła się Wystawa powszechna, napisał do p. Żaaka, wzywając go, aby spieszył się ze sprawą założenia Muzeum przemysłowego we Lwowie, której się tak ochoczo był podjął, gdyż chwila obecna Wystawy powszechnej w Wiedniu bardzo sprzyjałaby urzeczywistnieniu tego projektu. Jakoż pan Żaak zajął się tą sprawą z całą gorliwością: zawiązano komitet, zebrano trochę pieniędzy i wysłano pp. Żaaka i Pietscha do Wiednia dla zakupienia na wystawie odpowiednich przedmiotów. Równocześnie P. Bałutowski przysłał ministrowi Ziemiałkowskiemu 1000 f. na ten cel Minister Z. ułatwił tym panom, którym owe 1000 f. oddał do dyspozycji, przez swego radcę ministerjalnego Zaleskiego i inspektora kolei Gintla, komisarzy wystawowych, zetknięcie się z wystawcami i polecił ich nadto ministrowi handlu. Rzeczy na wystawie zakupione odsyłano do biura ministra, w skutek czego ten i ów dowiedziawszy się, że kupiony przedmiot ma być odstawiony do biura ministra dla Muzeum, nie żądał zapłaty. Oto początek Muzeum przemysłowego. Przeniesienie tego Muzeum na własność miasta, pomoc udzielona przez Wydział krajowy, wspaniałomyślny datek pieniężny p. Bałutowskiego, ofiarność miasta i pojedynczych obywateli, niezmordowana nareszcie praca p. Wierzbickiego, zrobiły zeń to czem jest w tej chwili. Interesowanie się zaś ciągłe ministra Ziemiałkowskiego zdziałało, że założono kosztem rządu szkołę rysunków przy tem Muzeum, i że w ministerjum handlu z rzeczy wystawowych przeznaczono znaczną kolekcję dla tego Muzeum, która skoro uporządkowanie tych przedmiotów ukończonem zostanie, odesłaną będzie do Muzeum Lwowskiego.

Dowiedziawszy się podczas swego urzędowania, że rząd wspiera w innych prowincjach przemysł drobny, napisał minister Ziemiałkowski do Izb handlowych w Krakowie i Lwowie, aby mu doniosły, jaki przemysł drobny u nas najbardziej kwitnie i do których miejscowości możnaby posłać nauczycieli kosztem rządu. Izba handlowa krakowska pospieszyła z odpowiedzią, a sekretarz jej Dr. Weigel osobiście zwrócił uwagę na slusarzy w Swiątnikach, zkąd też rząd wziął trzech slusarzy na wykształcenie do Wiednia, aby potem wróciwszy do domu innych mogli kształcić. Pan Machalski zaś oświadczył się z gotowością dostarczenia ubikacyj dla nauczyciela koszykarstwa i na szkółkę — i posłano tam nauczyciela kosztem rządu, dając mu nadto kredyt na zakupno materjału. Dziś nauczyciel ten już tam nie potrzebny, w 6 czy 7 wioskach koło Sciejowic chłopcy wyuczeni w koszykarstwie zarabiają dwa do 3 reńskich tygodniowo, i mogą innych uczyć. Nauczyciel przenosi się do Liszek, by tamtejszy lud uczyć koszykarstwa.

Po tych dwóch zgłoszeniach się ucichło w kraju, bo niektórzy dyktatorowie opinji wyśmieli te roboty „ministra rodaka“. Zgłosił się jeszcze p. Krukowiecki z Aksmanic o nauczyciela koszykarstwa do ministra Z. który prożbę polecająco odstąpił ministerstwu handlu; lecz sprawa ta zagrzęzła w Namiestnictwie, któremu już bardzo, bardzo dawno polecono, by przeprowadził z p. Krukowieckim układ względem umieszczenia nauczyciela i szkółki, a które dotąd odpowiedzi nie nadesłało.

Mimo oziębłości, z jaką kraj traktował tę sprawę, nie zasypiano jej w Wiedniu. Postarano się o to, że Minister handlu wysłał sekretarza ministerjalnego Bra. Weigelsperga do Galicji, by na miejscu zbadał sprawę przemysłu drobnego. Skutkiem tej podróży było wyznaczenie stypendjów dla jednego członka „Gwiazdy“, dla jednej panienki z Krakowa, a jednej ze Lwowa, celem kształcenia się w wiedeńskiej szkole przemysłowej, nareszcie udzielenie Stowarzyszeniu pracy kobiet maszyny do robót drucianych czyli pończochowych.

Jeden z gości Zakopańskich przejeżdżając przez Wiedeń wspomniał ministrowi Ziemiałkowskiemu o zręczności Podhalan w rzeźbieniu. Rozpoczęto więc przez Namiestnictwo traktować z Gminą Nowotargską o dostarczenie lokalu dla szkółki snycerskiej i dla nauczyciela, którego rząd miał już w pogotowiu. Traktowanie to spełzło na niczem, nie wiem z czyjej winy. Później za staraniem Towarzystwa tatrzańskiego przygotował P. Eichborn właściciel Zakopanego lokal, lecz tymczasem nauczyciel poszedł gdzie indziej. Teraz przeznaczony tam nauczyciel uczy się po polsku, i po nowym roku wyruszy do Zakopanego — i jest w Bogu nadzieja, że za lat parę podhalska okolica będzie miała zarobek podczas zimowego bezrobocia, i te dwie panny które są we Wiedniu na stypendjach, mają po odbytej nauce w hafciarstwie i koronkarstwie być wysłane w tamte strony jako nauczycielki kosztem rządu.

Za inicjatywą Hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, kazał rząd zbadać stan przemysłu garncarskiego w Kołomyi i jakość tamtejszej gliny; dziś jest już tam nauczyciel garncarski kosztem rządu, który także potrzebne pieniądze na urządzenie pieców wyasygnował.

Skreśliłem wam to, by wykazać, że jest ktoś w rządzie, który czuje potrzebę rozwoju przemysłu drobnego w Galicji, i że rząd krajowi chętnie zadość czyni gdy tego żąda. Niechże się kraj rusza, póki prąd ten trwa w rządzie, i niech sam także coś robi.

Dodaję jeszcze, że minister Ziemiałkowski wezwany do podania środków przeciw lichwie, między innemi podał także: wspieranie ze strony rządu rozwoju przemysłu drobnego. Gdyby kraj zamiast żądać ustanowienia pewnej stopy procentowej — co jest nonsensem jurydycznym i ekonomicznym — zażądał, by się rząd zajął energicznie przemysłem drobnym, to zdaje mi się lepiejby postąpił.

Literatura i sztuka.

— Do rzędu pożytecznych publikacyj zaliczamy zapowiedzianą przez księgarnię Polską książkę dra Reveillé-Parise pt. „Starość,“ spolszczoną przez dra Fr. Olszewskiego Jest to wyczerpujący podręcznik dla ludzi w starszym wieku, napisany z gruntowną znajomością przedmiotu i jako taki uwieńczony nagrodą akademicką. W literaturze naszej dotąd nie posiadaliśmy dzieła specjalnie wiekowi podeszłemu poświęconego, pomimo, iż wiek ten najbardziej potrzebuje przewodnika lekarskiego. Dzieło to jednak nie tyle ma służyć dla ludzi zupełnie starych, jak raczej dla zbliżających się do starości.

— Biblioteka umiejętności prawnych rozpoczęła druk przekładu najnowszego komentarza do obowiązującego w Królestwie Polskiem kodeksu handlowego francuskiego Boistel'a.

— Ma wyjść niezadługo z druku dzieło Stanisława Broeckera, b. oficera francuzko-polskich legionów z czasów Napoleona I, przez córkę jego na język polski z niemieckiego przełożone p. t. „Pamiętniki z wojny hiszpańskiej.“

— Profesor uniwersytetu Kazańskiego, były uczeń szkoły głównej warszawskiej, dr. Baudouin de Courtenay uzyskał od akademji nauk w Petersburgu nagrodę imienia Uwarowa w sumie rs. 500 za rozprawę o narzeczach razjańskich.

— P. Hipolit Kieszczyński ułożył „Przewodnik dróg żelaznych w Królestwie polskiem“. Książka ta ma się ukazać na początku listopada na widok publiczny.

— Wyszedł z pod prasy w przekładzie polskim I zeszyt „Chemji naturalnej“ Gorup Besaneza, wydanie redakcji Przyrody i przemysłu. Dowiadujemy się prócz tego, że wkrótce ma wyjść przekład podręcznika chemji nieorganicznej Pinera.

— Gounod objawił w tym roku wielką czynność. Kompozycja jego „Ave Maria“ przedstawioną została po raz pierwszy w Saint Cloud 16 październikа na koncercie urządzonym w celach dobroczynnych. Oprócz tego napisał jeszcze mszę, requiem, i wypracował operę "Polyeucte."

— Uroczyste odsłonięcie pomnika Schillera w Wiedniu naznaczono na dzień 10go listopada.

— Roberta Schumanna „Genoveva“ zostanie tej zimy w królewskiej operze berlińskiej przedstawioną.

— George Sand zostawiła w manuskryptach libretto, do którego Paulina Viardot-Garcia muzykę dorobiła.

— Mnisi armeńscy z wyspy Lazaristów w Wenecji, których klasztor zasłynął przez ogromną bibljotekę, wydają teraz kościelne pieśni armeńskie („Le chant de l' église arméniens traduit en notes musicales européennes“) z europejskiemi nutami. Jest to pierwsze usiłowanie mające na celu danie europejskiej publiczności dokładne wyobrażenie o wschodniej muzyce. Na czele przedsiębiorstwa stoi Maestro Pietro Bianchini; zbiór obejmuje 200 stronic i wyjdzie w czterech językach: armeńskim, włoskim, francuskim i angielskim.

— Niezwykła śmiertelniczka, Krystyna Nilson, znakomita śpiewaczka, zbiera wawrzyny i złoto. Wyjeżdzając ze Stokholmu do Chrystjanji, była żegnaną przez swych rodaków w najuroczystszy sposób. W Chrystjanji na stacji zebrała się tak wielka liczba ludu, jak przy spotkaniu króla Oskara. Przy wyjściu z wagonu przyjęto ją nieskończonem „hura!“ Damy powiewały chustkami i rzucały jej kwiaty. Kareta jej zaledwie przez tłum zwolna przecisnąć się mogła. Oklaski i uniesienia na koncertach opisać się nie dadzą. Po drugim koncercie chór wojskowych, studentów i fabrykantów wyprawił jej serenadę, kończącą się akordem „wiwat Krystyna Nilson.“ Wyszła na balkon i podziękowała za ten dowód uznania. Wieczorem, gdy więcej jak 6000 ludzi zebrało się przed jej hotelem, Nilson stanąwszy w oknie, zaśpiewała kilka szwedzkich narodowych pieśni. Podziękowano jej pełnem uniesienia „hura.“ Z Chrystjanji p. Nilson wyjechała do Goteborga, a w krótce ma przybyć do Kopenhagi. Impressario, urządzający jej koncerta w królestwach Skandynawji, zobowiązał się zapłacić jej 70.000 kron (98.000 franków). W Kopenhadze cena biletu 12 kron, — cena niepraktykowana w tem mieście, a jednakże wszystkie bilety rozebrano. Pierwszy to może prorok, którego we własnym uznano kraju.

Podróże.

— Ekspedycja uczonych do Alai jak się dowiadujemy została pomyślnie do skutku doprowadzoną. Góry Alai i Transalai jak również północna przestrzeń Pamiru zostały dokładnie oznaczone. Najwyższy punkt astronomiczny ma się znajdywać na przestrzeni Pamiru Chorgota w wysokości 14.500 stóp. Wysokość grzbietu góry Ns-Bjel ma wynosić 15.000 stóp. Co szczególniejsze, że na Pamirze skonstatowano zboczenie igły magnesowej. Ekspedycja przyniosła z sobą mnóstwo zebranych przyrodniczych przedmiotów jak również opis zdjętych pomiarów. Peterman opierając się na tych opisach wydał kartę gór Alai.

Wykopaliska

— Ostatniemi czasy w przedsiębranych wykopaliskach Voltosa koło Piacenzy zrobiono nader cenny archeologiczny nabytek. Gdy przerwane bardzo dawno roboty napowrót podjęto, pokazały się na całej przestrzeni starego miasta groby Liguryjczyków, którzy jeszcze przed wtargnięciem Rzymian mieszkali w tych okolicach. Odkrycie owych grobów i przedmiotów w nich znalezionych jest bardzo ważne; stanowczo bowiem teraz twierdzić można, że wszystkie inne tym podobne przedmioty, które na różnych punktach gór Apenińskich odkryto, należy uważać jako pochodzące od tego właśnie narodu. Minister oświaty polecił dalsze gorliwe szukania, przeznaczając na ten cel daleko większą jak poprzednio sumę.

Szkolnictwo.

— Nowo założone królewskie gimnazjum w Gdańsku zostało otworzone d. 16go zm. Uczniów zapisanych było 90.

— W Szwajcarji poświęcono w pierwszych dniach października nowy kościół protestancki z przynależnym pensjonatem. Koszta opędzono po większej części drogą subskrypcji.

Wojskowość.

— Dwa najpotężniejsze dziś w Europie statki pancerne są: włoski Duilio i angielski Inflexible; po nich idą Ajax (ang.), Foudroyant (franc.), Dreadnought (ang.) i Piotr Wielki (ross.) Jeżeli przyjmiemy siłę floty wojennej Anglji za 1, to inne kraje reprezentowane będą następującemi cyframi: Francja 0.767; Niemcy 0.334; Włochy 0.255; Turcja 0.193; Rossja 0.138; Austrja 0.120.

ROZMAITOŚCI.

— Przed rewolucją franc. r. 1789 zasądzano we Francji wielkich zbrodniarzy nie jak później, „na dożywotnie galery,“ lecz na „roboty galernicze na sto lat i jeden dzień.“ Otóż mieszkańcy miejscowości położonych przy wielkim trakcie wiodącym z południa do Paryża, mieli przed kilką tygodniami jedyną w swoim rodzaju sposobność oglądania człowieka, który te „sto lat i jeden dzień“ rzeczywiście przepędził w Bagno tulońskim. Jan Baptysta Mourow, został jako szesnastoletni chłopak za morderstwo i podpalenie na wyżwspomnianą karę stuletnich galerów skazany. Zachowanie się jego w więzieniu musiało być prawdopodobnie przykładnem, skoro po kilkakroć ofiarowywano mu ułaskawienie, które on jednak zawsze odrzucał. Snać wyobraził sobie, że musi koniecznie odbyć zasłużoną karę, i dziwnem zrządzeniem Opatrzności, udało się mu ten cel osiągnąć. Gdy we Francji zniesiono galery i przeznaczone na ten cel zakłady, Mourow błagał tak usilnie, by go pozostawiono aż do ukończenia kary, że w końcu musiano zostawić go niby to w więzieniu i przeznaczono mu na mieszkanie arsenał, dając rozmaite zajęcia, które on wypełniał skrupulatnie. Ze sprzedaży sporządzonych przezeń przedmiotów uzbierała się wcale znaczna suma, którą wypłacono mu, gdy opuszczał zaimprowizowane więzienie. Co do zewnętrznej jego powierzchowności, jest to chudy zawiędły starzec, średniego wzrostu, z krótko ostrzyżoną białą głową. Wejrzenie ma zuchwałe, a mowę i ruchy szybkie i żywe. Wyprosił sobie, że drogę do miejsca rodzinnego, małej wioski w Normandji, odbędzie pieszo; w podróży tej nie źle mu się działo, bo z otrzymanych wszędzie podarków uzbierał sobie tyle, że w dostatku będzie mógł spędzić resztki niedługiego już zapewne życia. W jednem n. p. Macon otrzymał przeszło 600 franków. Bawił tam przez pięć dni podejmowany suto przez restauratora miejscowego, który dał mu bezpłatne mieszkanie i całe utrzymanie, sam zaś na tej dobroczynności wcale dobrze zyskał, bo przez te pięć dni lokal jego od rana do wieczora przepełniony był ciekawymi, pragnącymi oglądać stukilkunastoletniego więźnia.

— Przed kilką tygodniami przybył do Hamburga na parowcu „Karnak“ cieśla okrętowy, który przez cztery lata zostawał w niewoli u pewnego plemienia indyjskiego w środkowej Ameryce południowej, przeciągając przez ten czas wraz z nimi dziewicze lasy nad górnym Urugwayem. Dostał się w ich ręce przy sposobności, gdy razu pewnego z dwoma towarzyszami wylądował na brzeg górnego Urugwayu po drzewo cedrowe. Otoczeni przez bandę dzikich złożoną z 270 głów, nie mogli uciec na łódź; towarzysze jego broniąc się zginęli, on zaś ocalał i wprawdzie darowano mu życie, był jednak pilnie strzeżony a to przez kobiety. Po czterech latach uciążliwego tułactwa z dzikimi, udało mu się zmylić czujność wartowniczek, umknął i dotarł szczęśliwie do Montevideo. Pożywienie plemienia, a zatem i jego podczas niewoli, składało się z mięsa dzikich zwierząt, wężów, jaszczurek, szczurów i t.p. zwierzyny, ubranie ze skór zwierzęcych. Jeśli wierzyć można opowiadaniu jego, to zaiste ciekawem zjawiskiem jest jakaś kobieta biała, która już od piętnastu lat przebywa wśród tych dzikich, oczywiście w dobrych z nimi żyjąc stosunkach.

— Wynalezienie gry w domino odnosi podanie do szóstego stulecia, a brzmi ono, jak następuje: „Dwaj mnisi ze sławnego klasztoru jałmużników na Monte Casino, zostali za jakieś przewinienie w jednej celi zamknięci, a że im czas w więzieniu wydawał się długim, więc wymyślili sobie zabawkę z białych kostek czworograniastych, prawdopodobnie wykrojonych z kredy, które znaczone były czarnemi punktami. Kostki te układali w ten sposób, że tworzyły się parzyste szeregi liczb. Ponieważ przeor klasztoru pilnował ich z bliska, więc umówili się, że ilekroć usłyszą szmer zbliżających się przeora kroków, zaczną mówić psalm wieczorny poczynający się od słów: Dixit Dominus Domino... (Rzekł Pan Panu...) Dalej nie umieli psalmu na pamięć, i ustawali zawsze na słowie „Domino,“ a że się to powtarzało często, nazwali wynalezioną zabawkę od tego ostatniego słowa „Domino.“ Gdy się ich kara ukończyła, i wyszli na wolność, ruszyli znowu w świat po jałmużny. Na wędrówce pokazywali wszędzie nową grę, uczyli przeróżnych jej kombinacyj, sprzedawali drogo sporządzane przez siebie kostki, a że zabawka przypadła do smaku leniwym Włochom, więc rychło rozpowszechniła się, zatrzymując nazwę „Domino“ nadaną przez mnichów. Później sporządzano takie kostki z drzewa, metalu, kości słoniowej itp. a gra wydoskonalała się coraz bardziej. W połowie ubiegłego stulecia rozszerzyła się także we Francji, i tu zyskała wnet takie obywatelstwo, że prawie nie ma w całym kraju jednej kawiarni, gdzieby nie była praktykowaną na wielką skalę.

— Koń arabski odznacza się nie tylko niezrównaną szybkością i lekkością w biegu, ale także innemi niezwykłemi w świecie zwierzęcym przymiotami. Posłuchajmy co opowiada w tej mierze z doświadczenie konsul francuski w Syrji, pan Mazoillier: Jedną z najgłówniejszych zalet prawdziwie rasowego konia arabskiego jest ta, że każdy z nich zatrzymuje się natychmiast na miejscu, gdy jeździec zeń spadnie, a potem rannego czy zabitego zanosi do obozu, jeśli przypadkiem mimo to pozostał w siodle. W pewnej bitwie upadł z konia ciężko ranny Wahabi, przyczem noga została mu w strzemieniu; klacz widząc to, położyła się niezwłocznie na ziemi, by mu ulżyć oswobodzenie nogi, co gdy się stało, pochwyciła go zębami za pas i zaniosła pomiędzy jego towarzyszów. Ci opatrzyli rannego, i w krótkim czasie ozdrowiał szczęśliwie, zawdzięczając w ten sposób ocalenie swoje jedynie roztropnemu koniowi. Dobry koń rozpozna rychło, czy pan jego tęgim lub lichym jeźdźcem, czy odważny lub tchórz, a nawet jaką, tj. mniejszą lub większą piastuje godność: w każdym z tych razów koń spełnia sumiennie powinność swoją. Nader ciekawym objawem jest wielkie zamiłowanie arabskiego konia w ładnym rynsztunku. To też arab, rozumiejąc dobrze ten gust, czyni mu zadość, i zawsze na szyi konia zawiesza łańcuszki i wisiorki srebrne, które podczas poruszania się, wydają dźwięk widocznie miły dla ucha rumaka i schlebiający jego próżności.“

— Piotr okrutny, król Kastylji, który licząc 16 lat w r. 1350 wstąpił na tron, a w 17 lat później zamordowany został przez własnego brata Henryka, zaznaczył swoje panowanie na kartach historji szeregiem okropnych zbrodni. Sztyletem lub trucizną zgładzić któregokolwiek z krewnych swoich lub poddanych, było u niego nic nie znaczącą igraszką, aż w końcu sam padł od mściwej ręki brata. Z tem wszystkiem miewał czasami chwile jakiejś refleksji, sumienie odzywało się w zbrodniarzu, i wtedy okazywał skruchę i ogromny pietyzm dla surowej sprawiedliwości. Hiszpańscy kronikarze opowiadają w tej mierze przykład dość komiczny. Z pomiędzy przeróżnych dziwacznych upodobań młodego monarchy, najbardziej lubiał uganiać nocą po ulicach swej stolicy Burgos i udawać warjata. Na jednej z takich wycieczek zchwycił go strażnik nocny. Ten będąc z natury ścisłym wykonawcą obowiązków swoich, a sądząc że ma przed sobą jakiegoś hultaja pazia, zakłócającego spokój nocny mieszkańców, przetrzepał go porządnie laską. Rozsierdzony król gdy zdołał wyrwać się z rąk służbisty, dobył miecza i zabił nieszczęśliwego. Nazajutrz sędziowie miejscy zarządzili najskrzętniejsze poszukiwania za mordercą. Zrazu jednak wszystko było daremnem i zdawało się że sprawa pójdzie w zapomnienie, gdy w tem wystąpiła jakaś staruszka, która przypadkiem będąc z bliska obecną morderstwu zeznała, że to król sam sprawcą zbrodni. Skutkiem tego trybunał zebrał się i po naradzie udał się gremialnie do króla i na stopniach tronu złożył oskarżenie osoby monarszej. Na to król oświadczył łaskawie, że i w tym nadzwyczajnym wypadku, sprawiedliwość będzie miała zadośćuczynienie a to stosownie do brzmienia kastylskiego prawa. W tym celu kazał sporządzić drewniany kontrfekt swojej osoby, i wśród ceremonij przepisanych, figura została publicznie ściętą. Przyznać należy, że to sposób na odpokutowanie takiej zbrodni wcale wygodny. Długie lata potem stała ta figura ścięta na rogu owej ulicy, gdzie popełnione było zabójstwo na niewinnym strażniku.

— Poczta gołębia nie jest bynajmniej wynalazkiem nowszych stuleci, ale znaną była w najodleglejszych nam czasach. Już grecki poeta Anakreon każe gołębiowi mniej więcej tak wyrażać się o sobie: „...Jestem posłanką Anakreonta, i mam te listy jego zanieść na miejsce przeznaczone..“ Równie Aelian pisze, że gdy podczas igrzysk olimpijskich Taurathenes uzyskał pierwszą nagrodę, posłał o tem wiadomość ojcu swojemu przez gołębia, który u nóżki miał przyczepioną łatkę purpurową. Pliniusz opowiada, że Decimus Brutus wysłał był z Mutiny oblężonej przez Antoniusza z pomocą gołębia list do przyjaznych mu konzulów. Saraceni mieli wszędzie przez pocztę gołębią stałe związki miądzy sobą. Około r. 1147 po Chr. Kalif bagdadzki Nureddin znalazł je rozpowszechnione w całym kraju, a pod Achmedem, (umarł 1225 r.) używanie ich był ogólnem. Z upadkiem Mohametanizmu, poczty gołębie straciły zdobyte przedtem znaczenie swoje, gdyż inne kraje nie chciały przyjąć u siebie tego środka komunikacyjnego. Dopiero w roku 1573 przypomniano o nim sobie i używano go pomyślnie podczas oblężenia Haarlemu i Leyden'u. Później gołębie poszły znowu w zapomnienie, aż w r. 1806 słyszymy o nich pod Napoleonem I, który urządził formalne stacje gołębiej poczty. Od tego czasu poczęto we Francji i Belgji chodować na ten cel gołębie, a później zabrano się do tego także w Anglji i Niemczech. W r. 1828 spekulanci giełdowi w Paryżu, Brukselji, Frankfurcie nad Menem i Londynie, komunikowali się z pomocą gołębi przesyłając sobie kursa papierów. W r. 1844 założono stały związek gołębi pomiędzy Paryżem a Londynem a w ostatniej wojnie francusko-niemieckiej, jak wiadomo, gołębie oddawały znaczne usługi oblężonym Francuzom.

— Ostatnie szczątki Huronów (indyjskiego plemienia) którzy uszli szczęśliwie wytępieniu przez Irokezów, żyją po dziś dzień w miejscowości Lorette, oddalonej od Quebec'u na 16 kilometrów. Wieś ta liczy 3000 mieszkańców, a położona w miejscu, gdzie rzeka Św. Karola wpada na nizinę rzeki Wawrzyńca. Domy tam wzniesione są z licho obciosanych belek, mają dachy niskie, a przeciwnie drzwi i okna niezwykle wysokie. Jedyny sprzęt domowy stanowią duże łoża polowe przytwierdzone do ściany, a pokryte grubemi kołdrami wełnianemi. Mimo to trafiają się tu i owdzie mieszkania, urządzone wcale po europejsku. Zresztą w codziennem życiu Huroni przyjęli wiele zwyczajów od swoich sąsiadów, i tylko podczas uroczystych sposobności dobywają staro-dawne swoje szaty i zbroje, które przechowują pilnie jak drogie relikwie po przodkach. Ubiór mężczyzn podobny zupełnie do stroju kanadyjskich ich sąsiadów, kobiety zaś noszą się przeważnie podług zwyczaju staro-narodowego. Głowę obwiązują czarną chustą, z tej spada na plecy, na kształt mantyli, duży koc wełniany. Zwierzchnia długa suknia ciemnego koloru, kaftanik z krótkiemi rękawami, a w końcu rodzaj kamaszów skórzanych, ozdobionych sierścią odyńca, stanowią całe ubranie huruńskiej kobiety. Kamasze te sięgają dość wysoko a przymocowane są do nogi rzemykami. W świątyniach kapłani każą jeszcze w narzeczu rodzinnem, mimo to większa część młodzieży nie rozumie już mowy ojczystej a posługuje się wyłącznie francuską. W ogóle rzec można, że coraz to bardziej zacierają się charakterystyczne cechy plemienia, i niebawem może Huroni, jako tacy, należeć będą tylko do historji.

Od Redakcji.

S. W. w Krakowie. Pierwsza serja illustracyj, stosownie do przyrzeczenia naszego, umieszczonego w prospekcie, będzie rozesłaną w ciągu bieżącego miesiąca.

Ch. w Nowym Sączu. Manuskrypt jest właśnie w czytaniu; po ukończeniu nie omieszkamy zawiadomić o rezultacie.

Treść Nr. 10.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).